









SZKICE I NASTROJE

EDMUND ZECHENTER



SZKICE I NASTROJE

SŁOŃCE WIOSENNE.

DWIE OFIARY. – NA GROMNICZNĄ. – W NIEWOLI.

DO MATUSI... – CAUSE CELEBRE – W TOPOŁÓWCE.

NEMESIS. – PO WĘGLE... – W ZIMOWY CZAS.

HANUSINĄ WIGILIĄ. – POWRACAJĄCĄ FAŁĄ...

ZĄ KRZYŻEM. – OSIEROCONĄ. – W NOC ZADUSZNĄ.

NIESZKODLIWA...

BŁOGOSŁAWIENI... – MELANCHOLIA.



LWÓW

NAKŁADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO
WARSZAWA – KSIĘGARNIA S. SĄDOWSKIEGO

1904



203034

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SP.

SŁOŃCE WIOSENNE

Bądź pozdrowione!

Oto w smutku i tęsknocie czekaliśmy na twe przyjście przez niezliczone dni zimna i mroków posępnych. Leniwo, powoli wlokły się blade ich szeregi, niby szara rzesza skazańców, wynurzających się w mgliste ranki z ciemnych kaźni i po dniu pracy wracających w ich czarne, żałobne wnętrza.

Ale skruszone już berło śmierci. Skończone panowanie martwoty, zimna i rozpasania śnieżyc oszalałych. Każdy twór ziemi i nieba śmieje się do ciebie, pełen błogiego rozradowania. Wody, wolne już od ciężkich, jak kamienie grobowe lodowych płyt, łąki pachnące i bujne, lasy dźwigające się w górę w świeżej, zielonej krasie, chóry radosnego ptactwa i wszystko co żyje, zdaje się wołać ku tobie:

— Bądź pozdrowione!

Kochają cię i witają rumieńcami szczęścia obłoki ranne, zanim wynurzysz się nad ziemię, niby kwiat gorejący. Drżą z upojenia rozko-

łysane szczyty drzew, kiedy padają na nie pierwsze twe blaski, dobre i łaskawe, jak błogosławieństwo. W nizinach, pośród łąk i zarośli, rozlega się nieustannie tajemna, przesłodka mowa i jakby dziecięce gwarzenie małych strumyków, mknących łączo srebrnymi wstęgi z kamienistych krynic. Ilekroć przez gąszcze zielone przedrze się twój promień w płynne, przejrzyste kryształy, z nurtów strumyka biją w górę blaski, jak okrzyki szczęścia. Trawy najbliższe, młodzieńczo-bujne i blado-niebieskie oczęta niezapominajek, rosnących kępkami po brzegach, uśmiechać się zdają wśród tych boskich czarodziejstw światła.

A po rozległych, okiem nieobjętych równinach, po pulchnej i pachnącej piersi ziemi-karmicielki, po rolach zoranych, które poczęły już w swych łonach za sprawą dżdżów ciepłych i twojej miłości — przez długie, radosne dni przelewają się złote fale, idzie powódź przejaśna i błogosławiona, przepływają owe rzeki słońca cudowne, co moc życia zielonym zasiewom dają, i siłę, i wzrost. Każdego poranku zroszone trawy zbóż wznoszą się coraz wyżej, aż wreszcie w źdźbła przemienione, pochylają wdzięczne kłosa i niby w sennem omdleniu poddają się twej gorącej pieszczocie.

Nad ziemią zaś, pod rozpogodzonym błękitem, od najrańszych uśmiechów brzasku aż do cichych wieczorów, usypiających pod purpurą zórz, ani na chwilę nie milkną gwarne i hałaśliwe zabiegi wszelkiego stworzenia. Wszędzie rozlega się ogromne, radosne, przepotężne wołanie życia.

...Wiosna, wiosna króluje! Poczęło się panowanie ciepła, światła i miłości, któremu nie będzie końca! Z szeregów przyszłych dni i miesięcy wykreślona na zawsze pora wędnięcia, pora białych szronów nocnych, niosących skonliściom drzew i kwiatom spóźnionym... Napęczniałych sokiem życia gałązek nie pokryje nigdy w krótkie dni grudniowe skrząca się od mrozu sędzielina, a drobnych listeczków, narodzonych dopiero z świeżych, rozwitych pąków i jak niemowlęta wyzierających teraz ku niebu, nigdy wichury jesienne nie rozniosą na dalekie, umarłe, skostniałe pola... Nie będzie już jesieni, nie będzie pożegnań, odlotów, nie będzie rozstania i śmierci...

A twoje to dzieło, cud twego gorącego oddechu, twego życiodajnego tchnienia, o słońce, słońce wiosenne...

* * *

W otwartem oknie willi na odległym przedmieściu ukazały się dwie postacie. Młodość i szczęście jaśnieją z ich lic. Słońce kładzie dyadem świetlany na czarne, ciężkie sploty jej włosów, jemu złotym blaskiem oblewa białe czoło. Długą chwilę stoją zapatrzeni w błękitne dale i z rozkoszą chłoną wonie róż, bzów i jaśminów, idące ku nim z ogrodu, co się rozciąga za małym, żwirem wysypanym dziedzińcem. Wtem z wysoka spłynęły na białych skrzydłach dwa gołębie i usiadły na mostku swego okrągłego domku, stojącego opodal na wysokim słupie. I między świegot wróbli, rozlegający się na gzemsach i dachach, między poświsty ptactwa, dolatujące z cienistych głębi ogrodu, wdarło się przeciągłe, namiętne gruchanie. Gołąb raz po raz to pochylał się, jak wśród ukłonów, to prostował dumnie jedwabistą, lśniącą szyję, to kręcił się dokoła i okrążał swą białą kochankę, jakby zawodząc taniec miłosny. Ona zaś z przedziwnym wdziękiem i zalotnością niby to uchodziła przed nim, drepząc drobniutko na małych, różowych nóżkach, niby się cofała, znikając chwilami wewnątrz gołębnika, lecz nie uciekała dalej i zostawała ciągle na miejscu, jak zaczarowana. Wreszcie gruchająca para przystanęła na skraju wysu-

niętej deszczulki i poczęła myć w słońcu białe pióra. Naraz oba ptaki zwróciły ku sobie wdzięczne główki, chwyciły się dzióbkami i długo, zwarte z sobą, pierś przy piersi, zdawały się pić wzajem z siebie miłość w przeciągłym, namiętnym pocałunku ..

Na ich śnieżnych piórkach grały tęcze świetliste, z róż i jaśminów podnosiły się ku nim odurzające tchnienia, drobne ptactwo setką gardziołków śpiewało hymny radosne, a górą po wiosennym błękitie przepływały bieluchne obłoczki, jak uśmiechy nieskończoności..

— Patrz! — szepnął młody człowiek..

— Widzę, upajam się i kocham...

Oparła głowę na jego ramieniu, a on ją całą przygarnął do siebie. Oczy ich zatopiły się w sobie, jak gwiazdy w toniach lazurowych, usta przylgnęły...

Nie słyszeli ani radosnych chórów ptaszęcych, nie czuli zapachów róż, nie widzieli błękitu rozpiętego miłościwie nad światem. Rozbrzmiewały chóry miłości i śmiał się jasny, przeczysty błękit szczęścia — w głębi ich serc.

I ani na moment nie zamarzyły ich rozkochane głowy, że dotknięciem słodszych nad pocałunek słońca dotknęły ich już maleńkie, białe rączęta... I dwa serca zgodnie bijące nie

przečuły lubego szczebiotu, dźwięczniejszego nad śpiew skowronka...

A ono, to przyszłe, najukochańsze, unosiło się już nad nimi, niewidzialnymi rączkami opłatało ich szyje, pogodniejszemi od błękitu źrenicami zazierało w dusze i mówiło:

— Spieszę już do was, najdrożsi, aby ukochać was przeczystą miłością, co niebo przyniesie wam na ziemię...

* * *

...Więc pozdrowione bądź na wieki słońce wiosenne, które życiem jesteś i rozkoszą wszechstworzenia...

...Które rozchylasz pąki soczyste, aby na rozkołysanych gałązkach radowały się w twych blaskach drobniuchne, cudownie zielone listeczki...

...Które w serca ludzkie tchniesz miłość — miłość-rodzicielkę, po trzykroć błogosławioną, bo niebo przynoszącą na ziemię...



DWIE OFIARY

Onego dnia obaj bracia, Kain i Abel, mieli złożyć Panu ofiary.

Abel wziął ze stad swoich dwie pierwotne owce o białej jak mleko wełnie i ponióśł w miejsce odległe na równinach. Kain zagłębił się w ciemny pierwobór, gdzie rwał jagody winorośli, co z drzew zwieszały się nisko w gronach białych, przeświecających i ciemno-granatowych. Potem wyszedł na zielone równiny i brodząc w trawach wysokich, brał z drzew palmowych, stojących w gęstych kępach, duże, przestodkie owoce. Nazbierawszy zaś ich obfitość wielką, niósł wszystko na wyciągniętych przed sobą rękach, przegięty nieco wstecz, o szerokich, rozrośniętych barkach — ogromny, pełen siły i dzikiej urody.

Słońce opuściło się znacznie i szare cienie kęp palmowych wybiegały coraz dalej na zielone trawy, gdy przybył do stóp wzgórza, na którego szczycie chciał Panu złożyć w ofierze te owoce ziemi. Idąc pod górę skrajem oliw-

nego gaju, czuł, że pot rześisty, nakształt dżdżu lał się z pod gęstwy jego czarnych, krętych włosów i z ramion, w których drzymała siła niezwalczona. I był utrudzon bardzo, gdy wreszcie z cienia drzew wyszedł na słońce i stanął na szczycie.

Naokół ziemia drżała w przejasnych blaskach słonecznych, jak w szczęściu. Ogromne, pierzaste gałęzie palm i paproci chwiały się zwolna wśród podmuchów łagodnego wiatru. Skrzypy olbrzymie, rosnące tu i ówdzie w gromadach, pochylały swe krągłe głowy ruchem jednostajnym i spokojnym. Gdzieniegdzie nisko nad błękitnymi wodami, rozlanemi w zagłębieniach kamienistych, przelatywały na swych zębatych skrzydłach gady powietrzne o połyskliwym, zielonawem ciele. Od krańców widnokręgu niósł wiatr potężne ryki mamutów, niby grzmoty dalekie.

Z gałęzi drzew i krzów żywicznych wzniosł wysoko olbrzymi stos i złożył na nim owoce ziemi. A gdy to uczynił, odetchnął z głębi piersi, odwrócił się, i z pogardą a urąganiem w dumnym sercu patrzył na ofiarę brata. Daleko, na zalanej słońcem równinie, wążki, srebrny słup dymu szedł prosto w błękity, Abła zaś, klęczącego obok, wśród bujnych traw,

prawie widać nie było; jaśniała tylko na tle zieleni jego głowa o długich, złocistych włosach.

Kiedy podpalił stos i ogniste, czerwone języki opływać zaczęły drwa ofiarne, naraz czarne dymy rzuciły mu się na oczy i jęły pełzać po całym wzgórzu...

Tedy załamał szerokie dłonie i stojąc w odmętach dymu, a patrząc w niebo, którego dojrzeć nie mógł, zawołał głosem wielkim:

— Przecz, o Panie, nie przyjmujesz ofiary sługi swego? Przecz ją odpychasz od siebie i rzucasz napowrót na ziemię? Zali nie wybrałem najpiękniejszych owoców i nie wzniosłem stosu, wyższego nad moją głowę? Zali nie utrudziłem nóg moich, idąc pod górę, aby na wysokości złożyć ofiarę Tobie, który na wysokościach panujesz? Nakaż wiatrowi wrócić na niziny i przyjm w górę te dymy ofiarne, jako przyjmujesz od Abła!... Oto moc wielka zamieszkała w łonie i piersiach moich! Rozmnożę się w tysiące, a z krwi mojej wynijdą ci, którzy obejmą panowanie nad światem! Pobudują ku czci Twojej wspaniałe świątynie z białego kamienia, rozniosą imię Twoje na kresy ziem, za rzeki, za góry, za morza!...

Ostry, gryzący dym zapierał mu dech w piersiach i żarem palił oczy. Drwa płonęły z sykiem

i trzaskiem straszliwym, jakby wołając ratunku w bólu i męce, a drobne gałązki zwijały i kurczyły się w płomieniach, jakby w trwodze przedśmiertnej oddając życie. Wśród skrzydeł ognistych, ulatujących ze stosu, ukazywała się jęgo oczom co chwila jakaś postać potworna, z głową straszliwszą od głowy smoka i ohydnyimi ślepiami, jakby wypatrującemi łupu. Zaś dymy, jak węże czołgały się po jasnych trawach i gęstych krzaczach, brudząc ich niepokalaną zieleń i podnosząc złe łby ku niemu...

Zrozpaczony, zatopił obie ręce w zwichrzoną gęstwinę czarnych włosów i wołał dalej z upartem błaganiem:

— O Panie, Panie!... Oni zdobędą mnogie kraje dla Twego imienia — i imieniem Twojem zabrzmią lasy i góry i nieprzeliczone osady plemion ludzkich! I powielekroć razy białe rzeki popłyną krwią człowieczą wśród walk pełnych chwały, które staczać będą synowie moi z imieniem Twojem na uściech! A moc ich będzie taka pod utwierdzeniem, jako jest Twoja na wysokościach!

W owej chwili stała się nagła ciemność: na niebo wystąpiła duża chmura, zgasiła słońce i olbrzymim cieniem, niby czarnym płaszczem, pokryła całe wzgórze...

Kain upadł na ziemię i tarzał się w rozpacz. Jego członki potężne wiły się gwałtownie, nakształt gadów walczących. Z dziwną trwogą w sercu, chciał już uciekać w doliny, gdy przykuł jego oczy widok ofiary brata.

I skamieniały, nie mogąc ruszyć się z miejsca, z pod brwi ponuro zsuniętych patrzył, jak na nizinie, w jasnych blaskach słonecznych, szła prosto w niebo ofiara Abła...

* * *

Ów zaś modlił się jeszcze...

Przed nim, z szumem spokojnym, płonął stos ofiarny. Fale ognia obejmowały drwa jakby z pieśczołą, zmieniając je w iskrzącą zgorzel, która blednąc zwolna, zostawiała po sobie srebrne popioły. Zaś słup dymu, co ze stosu szedł prosto w górę, miał barwę śnieżnego lazuru i był jako niedościgniona kolumna, łącząca ziemię z niebem. Naokół panowała cisza uroczysta, cisza chwili świętej. Gaje palm i paproci stały nieruchome, jakby zasłuchane w modlitwę Abła, który z oczyma pełnemi łez, mówił:

— Jakże dziękować Ci, o Panie, iżeś zdjął bielmo z oczu moich i otworzył je na rzeczy

przyszłe!... Z krwi mojej i kości moich nie powstanie plemię cichych pasterzy... Maluczko, a źrenice moje się zamkną na blaski słońca... Aliści z ducha mego wynijdą pokolenia mnogie, które we łzach i boleści pożywać będą dary ziemi. I ubodzy będą, i prześladowani; i łaknąć będą sprawiedliwości, a nie będzie im dana; i przez wieki w niewolnictwie przetrwają, i przez wieki pot krwawy łać się będzie z ich bark okrutnie chłostanych i czoł uznajonych. I niewiasty bezdomne w boleściach rodzić będą blade niemowlęta, aby wypełniły się słowa, które wyrzekłeś do matki Hewy: »Rozmnożę nędze twoje i poczęcia twoje«... I nieszczęsne z wyschniętą piersią rwać będą włosy, patrząc na męczarnie dzieci swoich i słuchając ostatnich zamierających tchnień... I starce bezsilni i siwe kobiety, które wiek przeżyły w pracy i trudzie, wydani będą na okrucieństwo i krzywdy o pomstę wołające... I będą ginący z pragnienia na skwarnych pustyniach... I będą żywcem paleni... I będą żywcem w ziemię grzebani...

Umilkł, drżąc na całym ciele. Wnet jednak podniósł przesmutne, lecz pełne ufności oblicze i z cichym łkaniem wyszeptał:

— ...Niektórzy w nędzy i niedoli zapomną

o Tobie; niektórzy odwróca się od oblicza Twego i w grzechy popadną; niektórzy, napojeni rozpaczą, bluźnić przeciw Tobie będą: — lecz miej miłosierdzie nad nimi, albowiem przez wiek żywota krzywda dźiać im się będzie, o Panie!...

Stos się dopalał: dymy coraz rzadsze wznosiły się w niebo wśród ciszy wielkiej i świętej. On zaś, westchnąwszy głęboko, mówił:

— ...I ziemia ta aż do skończenia czasów pozostanie ziemią łez... Lecz niechaj imię Twoje będzie błogosławione, bowiem w niezbadanej mądrości swojej wiesz, co czynisz, o Panie! Tedy ofiaruję Ci w poddaniu i pokorze wszelkie łzy, jakie wylane będą... I łzy starców białowłosych, i niewiast słabych, i łzy niemowląt, łzy sierót, o Panie!... A przez wieki zbiera się ich tyle, że siwe mgły z nich powstaną i obfite dżdże użyźniać będą rodzącą matkę ziemię — łzami!...

Załamał ręce, pochylił nisko głowę, jakby pod ogromnym ciężarem i łkał z bólem wielkim. Lecz naraz wznosił w górę twarz natchnioną i z świętym ogniem w błękitnych źrenicach zawołał:

— Oto ofiaruję Ci wszystkie łzy sieroce

za tych, którzy gnębiicielami będą — za synów Kaina!... Bądź im miłościw, o Panie!

Reszta śnieżno-lazurowego obłoku podniosła się właśnie ze stosu. Lecz zanim uleciała w górę, zawisła w powietrzu, i zdało mu się, że nad jego głową roztoczyła się para białych skrzydeł, na brzegach przeświecających w słońcu, a z pośród nich wychyliło się jakieś cudowne oblicze...

I w zachwyceniu, z duszą wniebowziętą, modlił się jeszcze długo, albowiem zrozumiał, że jest nad nim tchnienie boże...

.
A Kain zstępował ze wzgórza chmurny, jak noc, i w duszy zawistnej przysięgał bratu śmierć...



NA GROMNICZNA

Nad rozległymi śnieżnymi polami i cichą wioską, leżącą w dolinie wśród drzew, pokrytych białą okiścią, ranek wstał mroźny, lecz pogodny i radosny, jak uśmiech dziecka. Słońce, podniósłszy się nisko, oblało miłościwie złotoróżowymi blaski białe od śniegu strzechy chałup i stodół, zaglądnęło do małych, niewiele ponad ziemię wzniesionych okien i rozweseliło wnętrza izb z ciemnymi pułapami, szeregami obrazów świętych na ścianach i ziemią ubitą zamiast podłogi.

Tu i owdzie na obejściach gospodarskich zaroilo się od ludzi, gdzieniegdzie zaskrzypiały żórawie, na niektórych podwórkach ukazały się gęsi, brodząc odważnie w śniegu i gromadki kur z kogutami na czele. Kury, chroniąc nogi od zimna, nie szły śladem gęsi, lecz zatrzymawszy się pod okapem, dziobały apatycznie wapno i glinę ze ścian, podczas gdy pomneswych obowiązków koguty, przekrzywiając

głowy, oznajmiały każdą przelatującą wronę przeciągłym wrzaskiem, który byłby dostatecznym sygnałem na trwogę przed zbliżającym się jastrzębiem.

Z pod niektórych strzech ulatywało nagle w górę stado gołębi i nie wzniosłszy się zbyt wysoko, zataczało w kryształowo czystem powietrzu szerokie kręgi. Długie chwile białe ptactwo zdawało się pluskać z rozkoszą w promieniach słońca, migocąc w jasnych blaskach, poczem, zwinąwszy skrzydła, spadało na kalenicę, lub zlatywało do sieni, zwabione głosem gospodyń, sypiących kurom ziarno.

W chałupie Jędrzeja Zięby, podobnie jak wszędzie, dawno już wszyscy powstawali. Gospodyni z Nastusią, starszą z dwóch niewydatnych dotąd córek, jędrną i przysadzistą dziewczuchą, jeszcze przy latarni wydoiły krowy, a Jagusia, młodsza siostra Nastki, wzięła na plecy kilkanaście kwart mleka w blaszankach i przededniem, gdy na niebie gwiazdy jeszcze świeciły, po białym, skrzypiącym od śniegu gościńcu, puściła się do miasta.

«Pan ociec» gospodarza. Walenty, nizki, zawiędły staruszek, z obfitymi, choć siwymi włosami, przystrzyżonymi w krąg nad czołem i parą pocziwych, niebieskich oczu, najstar-

szy człowiek we wsi, lecz mimo setnych pono lat, krzepki jeszcze i przytomny, wstał jak zwykle, pierwszy, pobudził domowników, ukląkł do pacierza, a potem, pośniadawszy wspólnie, usiadł koło pieca i ćmił krótką fajeczkę. Gospodarz, Nastka i Antek, nieożeniony jeszcze parobczak, wybierali się na ranną mszę, a staruszek z synową zostawali w domu, aby po ich powrocie udać się na sumę.

— Jędrzej! — ozwał się Walenty do wychodzącego syna — a uważaj ta na drógę, czy nie bardzo ślizgo, boby może trza la mnie sanie zładować, jak tamtej niedzieli. Nie zaszedłbym nijak do kościoła...

I przyłożył dłoń do ucha, aby usłyszeć odpowiedź, bo bardzo już słuch miał przytępiony.

— To się wie, że potrza was będzie, tatu niu, odwieźć — odkrzyknął Jędrzej. — Ślizgoty wielkiej niema, aleć to już nie na wasze nogi tyła dróga. Dy i szkapy wypoczęte, czasowe, niech się ta przeleca, będzie im zdrowiej. No, ostajcie z Bogiem!

— Szczęśliwa dróga! Z Panem Jezusem! Staruszek, zostawszy z synową, kobietą także już leciwą, puszczał w milczeniu przez chwilę

małe dymki z fajeczki, spluwając raz po raz przed siebie, wreszcie rzekł:

— Ano i dał Pan Jezus doczkać Gromnicznej... Łońskiego roku krzepciejszym był, to niema godki, i do kościołom se zaszedł, jak się patrzy. Juści, nie wydoliłem klęczeć bez całą sumę, cosi mnie zamroczyło, tom se ta i siednął. Na kazaniu chyčila mnie okrutna śpiączka, Pana Bogam obraził, ale se tak myślę, że mi może Pan Jezus miłosierny odpuścić po świętej spowiedzi. Już człek coraz kiepsciejszy... Ano, żyło się i żyło, hej, hej, kiela roków, to i pora na śmierć, a juści..

— E, kto ta wie, kiej na kogo pora! — odparła gospodyni, nachyliwszy się do staro. — Wyście, ociec, z mocnych ludzi. A dawnoście to jeszcze kosili, nikiem poniektóry parobek? A do młocki nie braliście się w tamte zapusty? Małoście to z Jędrzejem kłopotu narobili w chałupie bez to, że wam cepy wzion? Ziębowie, wiadomo, mocny naród! Wasz pan ociec, jak sami gadacie, cosi do setki dociągłi, wy także krzepcy, żebyście i młodego zawstydzili, a mój Jędrzej, że to z takiej famieliji, chocia będzie mu wnetki sześćdziesiąt, jaki se rażny! Pamiętacie, jak się to raz we żniwa nasz dziec dziwowali mojemu? Wyście, Jędrzeju (mówi)

starsi przecie odemnie, a siwego włosa na was nie uświadczy i z oczu czterdziestka wam patrzy, a ja, Boże zmiłuj się, już stary dziad. I posiwiałem, i wyłysiałem, i w nogach mnie drze...

— Juści — przyświadczył Walenty — zwyczajnie, jaki ociec, taki syn. I nademną kiela razy i panowie i księża i wsioscy ludzie się dziwowali. Jakosi się ta człek krzepi na tym czarnym chlebie i na tym żurze, co się go w póst i przez okrasy jada. Opatrzność boska i tylo!!...

Wytrząsł popiół z fajeczki, nałożył ją powtórnie, zakurzył i wiódł dalej pogwarękę o różnych różnościach z krzątającą się po izbie Jędrzejową, póki tamci z kościoła nie wrócili. Skoro przedzwonili na sumę, wdział kozuch, ściągnął się swoim szerokim, nabijanym pasem i nałożywszy baranią czapkę po same oczy, wyszedł przed chałupę, gdzie sanie stały już zładowane. Przy pomocy Antka wgramolił się na siedzenie, obok usadowiła się synowa z gromnicą w rękę, chłopak wziął lejce w garść, zaciął konie i sanie z głośnem dźwięczeniem dzwonka, uwiązanego u dyszla, pomknęły ku kościołowi.

* * *

Gromadki ludzi wracały z sumy, Jagusia, która w mieście została na nabożeństwie, także przyszła już do domu, zgrzana i czerwona od mrozu, jak piwonia, Nastka obiad miała gotowy, że ino na misę wylewać — a ich z kościoła jeszcze widać nie było.

Gdy wreszcie wszyscy ludzie już przeszli, znajomy dzwonek zadźwięczał przed domem — zajechali.

Staruszek przekładał powoli przez półkoszek naprzód jedną nogę, potem drugą, a Jędrzejowa tymczasem była już w izbie i zapytała od progu:

— Wiecie, co się stało?

— Abo co?

— A to ludzie wam nie mówili, co szli już ze sumy?

— Szli, a juści, ale nikt haw nie wlaź.

— Ojcu zgasła gromnica na precesyji... Wyleciała mu z ręki i zgasła. Pewnikiem starowina zamrze...

— O rety! o mój Jezu! — zaczęły zawodzić dziewczęta, bo okrutnie dziadka nawiedziły. Sprzykrzyny nie był, nie chorował, roboty koło niego nijakiej nie miały, z miasta gościniec nieraz przywiózł, a bywało, dojrzał jeszcze to tego, to owego przy gospodarstwie.

Jędrzej się zafrasował, pokiwał głową, spojrział przez okno na złażącego z sani staruszka i westchnął:

— Ano, wola boska...

Córkom zaś przykazał:

— A wy, dzieuchy, stulić mi gęby, nijakich lamentów nie wyprawiać, żeby zaś dziadkowi nie było markotno. Jeszcze ta nikt nie wie — dodał — co komu sądzono. Bywało, świece na Gromniczną gasły, i ludzie żyli, a poniektóremu chociaż nie zgasła, to i tak pomar.

Wszedł Walenty. Jędrzej go rozparał, pomógł zdjąć kozuch i jakby nigdy nic, zagadnął:

— A cóżeście to, ociec, tak długo robili? Dy dawno już ludzie z kościoła przeszli. Do Mośkaście z moją babą zaglądli, czy co?

— Kajem ta do Mośka zaglądał! Ostalem se chwilę po nabożeństwie i polecałem grzeszną duszę Panu Jezusowi... Zgasła mi gromnica, to i nie długo mi już na tym świecie... Trza było Panu Jezusowi podziękować za wielką łaskę, że mi swoją wolę objawił...

Wśród tego gospodyni zaświeciła poświęconą na sumie gromnicę i wyszła na drugą stronę chałupy, do stajni, oświecić krowy, aby

przez cały rok nie chorowały, dojne były i darzyły się.

Gdy wróciła, staruszek odebrał świecę z jej rąk i jak co roku, wypalił nią w obu oknach krzyże, aby «zły» do tego domu nie miał przystępu, a potem do trzech razy ją gasił i wszyscy kolejno do trzech razy dym w siebie wciągali, aby ich przez rok gardła nie bolały.

Wreszcie oddał gromnicę synowej, która ją zaraz schowała do ogromnej malowanej skrzyni, usiadł na ławie za stołem, bo już i na obiad był czas, powiódł po wszystkich oczyma i rzekł:

— Tyla roków wypalałem wam krzyże w oknach, abo i na stragarzach i zły nie miał haw nijakiej mocy... Z pomocą boską darzyło się wam niezgorzej, głoduście nie zaznali, nijakie paskudne choróbka nie przytrafiały się w chałupie, gadzina była zdrowa... Na bezrok, w Najświętszą Pannę Gromniczną, już se ta sami będziecie radzić... Ha, wola boska!... Jeszczem jakosi rano raźniejszy był, a tera tom ledwo nogi bez półkoszki przeniósł i buciska mi tak zaciężyły, jakby ich człek nie był zwyczajny... Hej, hej, żeby to choć pierwszego skowroneczka doczkać, a za łaską Pana Jezusową, żeby

też i boconia na naszej lipie!... Jantek, pamiętaj przed świętym Józefem gniazdo im w porządku zrychtować, żeby się zaś kaj nie wyniosły... Będzie, widzi mi się, rychła wiosna, bo mamy dzisiaj mróz, niedźwiedź budę ozwala... Hej, wiosna! Kto się ta nią nacieszy! Żeby ta stare kości ogrzać jeszcze ociupinę na słończku, pojrzyć na nasze gronta, jak ozimina wylezie z pod śniegu, jak wyjedziecie pierwszy raz z pługiem, z broną... Hej, chciałoby się, chciało!...

Nastka i Jaga, które zmogła okrutna żałość, gdy tak dziadek gwarzyli niby do nich wszystkich, a niby do siebie, wyniosły się z izby jedna za drugą, a i Jędrzejowi, choć chłop był twardy, ckliwo się zrobiło koło serca. Pan ociec nikomu się nie naprzykrzyli, nie ukrzywdzili nikogo, sprawiedliwie wszystkie dzieci podzielili majątkiem — a teraz tacy żałośliwi, tacy markotni... Trza starowinie to przerwać, bo i do czego taka mowa?

Więc przysiadł się do niego na ławie, wetknął rękę za pas, przechylił się w bok i huknął mu w samo ucho:

— Słuchajcie, ociec, co wam rzekę. Prawda, że wola boska święta i nikt się z Panem Jezusem prawował nie będzie, aleć i to

prawda, że nieraz gromnica zgaśnie, a człek żyje i żyje. Abo to i Tomkowej babie nie zgasła tak rok gromnica, a ta psia para żyje i chłopą, jak ino ochlany do chałupy wlezie, pierze po pysku, aże hej! Zwyczajnie, odmieńnic baba, bo przykazanie jest, że nie baba chłopą, ale chłop babę ma prac! A wybyście to niby zara pomarli, jakby nie było wam już na co czekać na tym świecie...

— Dy niby na co mi czekać?

— A na prawnęcka od mojej Maryny, to nie?

— E, kiej ta twoja Maryna ino same dzieuchy sypie, jak z worka — odparł staruszek nieco już rozweselony.

— Przyjdzie ona haw popołędniu, to jej nagroziwa, bo się ta znowu cosi u niej znaoczy... A jak Pan Jezus da chłopaka, to co? E, widzi mi się, ociec, że jeszcze na chrzcinach będziecie się ochocili, jak i na moich!

— Aboś to co widział?

— Zaśbym ta nie miał widzieć! A nie pozierałem to z kolebki?

— Jędre! — rzekł na to Walenty z wilgotnemi oczyma. — Zawdym gadał, żeś mi się chłopie, najlepiej udał z was wszystkich czterech! Byłeś i do roboty i do ochoty — pierwszy do pługą w całej wsi, a i do dzie-



wek pierwszy, i do tańca! Jakem ino miał jaki frasunek, toś zawdy tak cosi pedział, żem się musiał ośmiać. Jeszcze był tyli pędrak, coby ledwo szkapie pod brzuch przelazł, a bywało, jak się zaczniesz przypodchlebiać, a świadczyć tatusiowi, a przygadywać, to mi się zara na sercu robi lekuśko, jakby kto kamień zdjon! Niech ci ta Pan Jezus da za to wszystko dobre!

— I wnęcka od Maryny, hę?

— A choćby i pół kopy wnęcków!



W NIEWOLI

...Dopiero od niedawna czuję na sobie te straszne pęta i tę sieć zdradziecką, w której daremnie się szamocę... Dawniej z dziką żądzą zagłuszenia zranionego serca poddawałem się nałogowi, każdego dnia biegnałem doń z otwartymi ramionami, nie spostrzegając, że tonę coraz głębiej, jak w trzęsawisku. Teraz stanęło przedemną blade opamiętanie i rozdarła się zasłona, kryjąca przyszłe moje dni... Spojrzałem — i dusza zamarła mi z trwogi... Więc już tak daleko zaszedłem i nie ma dla mnie ratunku?... Więc stanowczo, nieodwołalnie jestem już we władaniu tej przemożnej siły, co zmogła i zdruzgotała tyle istnień ludzkich?... Rozumiem, wszystko rozumiem... Ten wróg nieubłagany okradł mnie chytrze najpierw z godności ludzkiej, woli i rozsądku, a potem pozwolił spojrzeć trzeźwo, wołając ze złowrogim chychotem nad moją głową nieszczęsną: walcz! walcz rozbrojony, ubezwładniony nędzarzu!

I poczęła się walka — zacięta, bezlitosna, śmiertelna. Po każdym starciu przekonuję się, że nieprzyjaciel silniejszy, niż moja wola i ambicya, niż największe wysiłki energii. Tyle już razy wychodziłem przeciw niemu w szranki i zawsze bywałem zwyciężany! Gdy tylko godziny pracy obowiązkowej się skończą, wstępuje we mnie to przekłęte opętanie i wroga, demoniczna moc popycha w otchłań upadku. Opieram się, nie chcę, z całej duszy nie chcę, ale idę — i staczam się coraz niżej...

Z mocnem postanowieniem sprawienia sobie ubrania pożyczyłem dzisiaj te pieniądze, bo już tak dalej wyglądać, jak teraz, żadną miarą nie mogę. Trzeba przecież szanować stanowisko, zdobyte tyloletnią pracą lat młodych. — Wiem dobrze, iż koledzy biurowi już mnie lekceważą, dyrektor ledwie końce palców podaje i gardzi mną, brzydzi się poprostu... Tak dalej być nie może!

W południe zostawiłem pieniądze w mieszkaniu, aby ich nie stracić, wracając z biura wieczorem.

Spokojny, zadowolony z siebie, przyszedłem do domu. Po herbacie stróż przyniósł mi gazetę. Zacząłem czytać.

Niestety, odrazu miałem ciche poczucie, że

gram komedię sam przed sobą, udając zajęcie się gazetą, której treść jest mi najzupełniej obojętną, a nawet wprost nie rozumiejąc tego, co czytam...

Ale tłumiąc w sobie tę świadomość, czytałem jeszcze długą chwilę. Coraz bardziej jednak zaczęło dolegać mi to, że się nie ruszam, lecz siedzę spokojnie. Mówiłem sobie:

— Wytrwam, nie wstanę, aż wszystko przeczytam, a potem położę się spać...

Lecz nie mogłem wytrwać; poprostu coś podniosło mnie z krzesła. Wstałem i zacząłem szybko chodzić po pokoju. Myślałem: »Tak, pochodzę, bo przecież w biurze się wysiedziałem, tymczasem wybije dziesiąta, stróż bramę zamknie, a potem wstyd byłoby już wychodzić«...

Właśnie zegary miejskie wydzwaniały dziesiątą, trąbka zwoływała żołnierzy.

Uspokoilo mnie to chwilowo.

— Przecie to niegodne takiego człowieka, jak ja... Pominąwszy już stanowisko, sam wzgląd na własną ludzką godność powinien skłonić mnie do zaprzestania tego codziennego upijania się... Wszak człowiek jeszcze młody... trzydzieści kilka lat... powstrzymać się można... Że tam kiedyś jedna piękna, «dobrze wychowana» panna Stefania, aby tak zwany «los»

zrobić, rozstała się ze mną tak łatwo, jak z pierwszym lepszym danserem po kotylionie, że w pachnącej kopercie przysłała mi tych kilkanaście zimnych, nieszczerých słów — to przecież nie usprawiedliwia mego trybu życia od tylu miesięcy. Ależ to czyste szaleństwo samemu, dobrowolnie i systematycznie zapijać się i jeszcze narażać na pośmiewisko i lekceważenie! Czyż nie dosyć miałem przejść bolesnych w życiu?... Czyż od najwcześniejszych lat nie byłem świadkiem, jak ten sam nałóg zabijał powolnie i w końcu o śmierć przyprawił mego biednego ojca?... I teraz sam, z całą świadomością następstw mam dążyć jego śladami?... Czyżby dziedziczność?... Nie wierzę w nią! Odepchnę od siebie to opętanie, co mnie już tak długo trzyma w niewoli! Muszę znaleźć w sobie dość siły do tego! Jutro kupuję ubranie, kapelusz i wszystko, co mi potrzeba, płacę gotówką i rzuciwszy z siebie te łachy, wytarte w tylu knajpach, muszę, muszę być już innym człowiekiem!... Gdybym nie mógł oprzeć się pijaństwu, to już wolałbym w łeb sobie palnąć, ale tak dłużej żyć nie chcę, nie chcę i nie będę!... Muszę sam siebie napowrót zacząć szanować i odzyskać zadowolenie we-

wewnętrzne... Teraz, gdym je postradał, rozumiem dopiero, ile ono znaczy...

Byłem ogromnie zdenerwowany. — Nogi drżały podemną, ręce zziębły jak lód, głowa pałała.

Powtarzałem drżącym szeptem:

— Ach, co to za szczęście posiadać to zadowolenie i poczucie, że nie jestem bezwolną igraszką nerwów, lecz mam wolę — męską, silną, niezłomną!...

Wtem dosłyszałem, że zegar na ratuszu uderzył trzy kwadranse na dziesiątą.

Machinalnie przystąpiłem do okna i wyjrzałem. Była pogoda: gwiazdy lśniły na skrawku nieba, który z mego okna widać. I jak zahipnotyzowany, ulegając jakiejś obcej sugestyi, pomyślałem: «Można będzie wziąć laskę». Potem w dziwnem osłupieniu i bezświadomości mechanicznie, jak lunatyk, sięgnąłem po zegarek, wiszący już nad łóżkiem i schowałem go do kieszonki; zawiązałem krawatkę, którą już przedtem zdjąłem; wysunąłem szufladę, wyjąłem 5 reńskich, 45 zostawiłem i zamknąłem stolik.

«Pocóż to robię? gdzie chcę iść?» — nagle wybuchło we mnie.

I drżący, do nieprzytomności zdenerwowany,

z gorącymi wypiekami na twarzy, znowu zacząłem biegać po pokoju.

— Nieprawda! — wołałem — kto mówi, że chcę iść? Ja nie chcę! wcale nie chcę! Chociaż raz postawię na swoim: nie pójdę!

I usiadłszy przy stole, rozłożyłem gazetę. Ręce mi się trzęsły aż papier szeleścił, zębami dzwoniłem, i wyteżając wzrok na litery, które skakały mi przed oczyma, powtarzałem z uporem i zaciętością: «Otóż nie! otóż nie!»

Naraz posłyszałem z dołu znajome skrzyknięcie drzwi i brzęk kluczy.

Jak podsadzony poskoczyłem, złapałem za kapelusz i laskę i pośpiesznie wybiegłem.

Za chwilę byłem już na dole. Zajmowało mnie przedewszystkiem to, czy już zamknął, czy nie.

Zdyszany, wszedłem w główną sień. Brama była jeszcze otwarta. Stróż stał z kluczami, czekając na pierwsze uderzenie dziesiątej na ratuszu. Odetchnąłem.

Na ulicy, nie wiedzieć czemu, śpieszyłem się, a wściekły byłem sam na siebie, że się śpieszę...

Ciągle kłąłem.

— Bodaj to dyabli wzięli! Bodaj pioruny zatrzęsły!

Kląłem, że lecę jak szalony, że śpieszę się chyba po to, aby jak najprędzej znowu zacząć sobą pogardzać, kląłem tę siłę przemożną, która jakby trzymając mnie za ramiona, ciągle pcha przed sobą w straszne, wężowe objęcia mego przeznaczenia...

Najpierw wszedłem do poblizkiego żydowskiego szynku, gdzie czasem pijałem żytniówkę. Wszedłem zachmurzony, jak człowiek zmuszony do załatwiania sprawunków, chociaż wolałby siedzieć w domu.

Sklep był pusty. W kącie tylko jakiś podpity murarz w okrągłej czapce z daszkiem i ogromnymi, jak wiechy wąsiskami, z żywą gestykulacją tłumaczył coś szynkarzowi, przypierając go do ściany.

— Pan myślisz, że nie potrafię?... Dy taka we winklu robota dla mnie, panie święty, fracha! Żal panu tych paru złotych, czy co, panie święty?... Ja je majster panie, ho, ho!... No, jakże, zgoda?...

I wyciągnął ogromną, włochatą rękę.

— Namyślę się, czemu się nie mam namyślić — bąknął żyd.

— Co się tu namyślać?... Ino pana ten Kućmida pewnikiem obrobił... Panie! — dodał uroczyście, podnosząc rękę do góry i zapala-

jąc się — psem jestem, uważasz pan, psem, świnia, hyclem...

— Dajcie spokój, panie Antoni — uspoka-
jał kupiec.

— Nie dam spokoju — wołał murarz coraz
głośniej — ino powiem swoje: psem jestem,
uważasz pan, panie święty, i świnia, jeżeli Ku-
ćmida pana nie orźnie, jak się patrzy! Ja go
znam...

Wypiłem, wziąłem kilka papierosów, które
żyd fabrykuje, zapłaciłem i wybiegłem. Pa-
pieros mi smakował. Pomyślałem: «Ten ma
jednak dobre papierosy; nawet u Rzepki, choć
to porządniejszy handelek, nigdy takich niema».

U Rzepki, gdzie jestem codziennym gościem,
znalazłem się jak u siebie. Ostatni pokoik był
pusty. Rozsiadłem się wygodnie na kanapie
i zawołałem o jarzębiak. Wyborny był, po-
wtórzyłem go parę razy. Błogie ciepło zaczęło
mnie rozmarzać. Piłem jeszcze potem porter
i byłoby mi tam wcale dobrze, gdyby nie
ten Staszek, zresztą miły i sprytny chłopak,
który, ile razy go zawołałem, trochę za długo
przedemną przystawał, patrząc mi w oczy z dzi-
wnym wyrazem. Trzeźwy już nie byłem, a je-
dnak czułem doskonale, że patrzył z ironią,
a może z politowaniem. Nauczył się tego chyba

od samego Rzepki, który ze swych gości, dających mu codzienny zarobek, niemiłosiernie drwi swemi przenikliwemi oczyma.

Zniecierpliwiło mnie wreszcie to przystawanie.

— Ja już niczego nie potrzebuję! Na co u miliona dyabłów jeszcze czekasz? — zawołałem.

Z lekceważeniem odwrócił się i powoli odszedł.

Ale szelma spojrzeł!...

Gdym około północy odchodził, byłem już doskonale pijany i budziła się we mnie niepohamowana, bezmyślna, pijacka wesołość.

Śmiejąc się, wziąłem Staszka pod brodę.

— No cóż, chce ci się spać, kawalerze? hę? — bełkotałem.

Przez nie bardzo już zapełnione pokoje przeszedłem chwiejnym krokiem, tłumiąc ochotę parsknięcia śmiechem w twarz każdemu z gości.

W sklepie okrągłutki, uśmiechnięty Rzepka stał za bufetem, zacierając ręce. — Zapytałem go:

— Jak to pan się nazywa?

— Rzepka, do usług pana dobrodzieja. Pan dobrodziej przecie wie...

— A tak... wiem, wiem... No, to dobranoc panu, panie Rzepka!...

— Dobranoc, padam do nóg, moje uszanowanie panu dobrodziejowi!...

Owionęło mnie chłodne powietrze. Z przyjemnością odetchnąłem.

— Rzepka... — myślałem, śmiejąc się do siebie — ha, ha, ha!... Bestya, nazywa się Rzepka, no, proszę ja kogo — i jeszcze kontent z tego! Albo ten murarz: Maciuda, czy Kaciara... A bodaj was z temi nazwiskami!

Przeszedłem kilka ulic. Wszędzie było cicho i spokojnie, tylko moje kroki rozlegały się głośno wśród milczących kamienic. Noc kwietniowa, gwiaździsta, pogodna, patrzyła z wysoka milionami migocących źrenic na uśpione miasto. Takie ciche, czarujące noce wiosenne... niegdyś, niegdyś... Ale co mnie to obchodzi u dyabła?... Precz z głupimi, sentymentalnymi wspomnieniami!... Pragnąłem jeszcze bawić się, śmiać, patrzeć na pijanych, wesołych, szalonych, takich, jak ja — poprostu utopić się w tem morzu śmiechów i wariactw pijackich... Poszedłem do nocnej kawiarni. I siedziałem tam przeszło godzinę wśród hałasu, gwaru, śmiechów, muzyki, niemieckiego szwargotu, patrząc na mundury, rozognione twarze mężczyzn, obnażone ramiona muzykantek, pijąc wódkę i herbatę z rumem, oszoło-

miony, ogłupiały, jak ci wszyscy, co się tam bawili...

Wyszedłem, porwany bezmyślną wesołością bardziej jeszcze niż przedtem. Już mało mi było śmiać się w duchu z głupstw, co się w pijanej głowie roiły; musiałem czynić to na cały głos...

— No, patrzcie — wołałem, zataczając się środkiem ulicy — taki stary grzmot, a jak się to kręci, szasta i kokietuje! A idź-że sowo do stu piorunów! Podaj herbatę i znikaj z oczu! A ta siada sobie bliziutko, trąca kolanem, nachyla się, uśmiecha, wyszczerza żółte zęby... No, moi państwo — taki grzmot!!... Albo ten opasły konduktor, czy jaki tam kolejarz! To było paradne! Szkoda, że nie umiem rysować, miałbym pyszną karykaturę!... Oczy wyłupia-
ste, jak u karpia, brzuszysko jak beka, nos jak ogórek... i bestya w umizgi do takiej drobnej blondyneczki... Fräulein Pepi... aber erlauben's... aber erlauben's... Sie haben ein so kleines Händchen...

Zbliżył się stróż nocny. Pozdrowiłem go:

— Dobry wieczór!

— Dobry wieczór panu!

— No cóż? Chodzisz jegomość tak i chodzisz? — zapytałem, dławiąc się od śmiechu.

— A chodzę...

— Ależ to głupio, bardzo głupio! Żona tam pewnie stęskniona, sama, przewraca się z boku na bok...

— Trudno, panie, służba...

— E, co tam służba!... Mówię ci, dobrodzieju, kobieta grunt, jeżeli notabene młoda i ładna! Rozumiał już to dobrze najmędrszy z królów, Salomon, który miał setki żon!... Wierzysz dobrodziej?... Ha, ha, ha... I dlatego to świat go takim mądrym ogłosił... Zresztą nie przeszkadzam, wesołej przechadzki życzę... ha, ha, ha!...

Gnąc się w pół od szalonych paroksyzmów śmiechu, poszedłem dalej.

— Łaż ośle, kiedy ci to wyższą frajdę sprawia! Jeśli masz ładną babę, a medyk mieszka w kamienicy, któremu ona zapewne bieliznę pierze, toś już przepadł pocziwcze! Ha, ha, ha!

Przed zamkniętym sklepem Rzepki przystanąłem i chwiejąc się na nogach, zacząłem pięścią walić we drzwi.

— A jest tam rzepa?... Co? niema?... Spodziewam się!... Skądżeby się tam rzepa wzięła? Nikt jej nie posiał... Ha, ha!... A ja tu jej szukam... to cymbał ze mnie!...

Przechodząc obok szynku, do którego najpierw wstąpiłem, znów przystanąłem.

— A tu... Hasen-lauf i... i... Ka-ciara... majster we winklu, panie święty!... Ha, ha, ha!...

I śmiałem się z całego gardła, wykrzykując bez ustanku.

Przed bramą trochę oprzytomniałem. Wobec stróża nie chciałem wyglądać na bardzo pijanego. Całą siłą powstrzymałem się od pijackich błazeństw.

Zadzwoiłem.

Wśród oczekiwania na otworzenie bramy, stało się ze mną coś niepojętego: nagle uczułem się całkiem trzeźwym!! Kolana gięły się podemną, w głowie szumiało, oczy i policzki żary paliły, a jednak — ja byłem trzeźwy!! Podczas tej krótkiej chwili ciszy, do której się zmusiłem — wślizgnęło się do mózgu zimne ostrze świadomości... I naraz opanowała mnie dzika, szalona rozpacz: byłbym szlochał, ryczał, wył, tarzając się po ziemi; byłbym padł na kolana i składając ręce, jak do modlitwy, wołał: «Ratunku! ratunku przed tą nieubłaganą potęgą, co trzyma mnie w niewoli, zabija mój umysł, ambycję i godność człowieczą! Miłosierdzia! Ukryjcie mnie przed nią choćby pod ziemię, aby mnie już nie dosięgła, bom biedny, bardzo biedny!»...

Dosyć przyzwoicie przeszedłem przez sień

Po schodach, stróż prowadził mnie pod ramię — w pokoju zapalił świecę, powiedział «dobranoc» i zostawił samego, samego!!...

.

Długo usnąć nie mogłem. Dopiero nad ranem utulił mnie sen litościwy. Lecz jeszcze w ostatniej chwili przytomności przyrzekałem sobie uroczyście upamiętanie i poprawę — i w tejże chwili miałem głuche poczucie, że się okłamuję.. Usnąłem z dreszczem trwogi przed zbliżającym się jutrem, w którym czeka mnie ta sama walka co dzisiaj — i ta sama przegrana...



DO MATUSI...

Za wsią, wśród dalekich pól, na wysokiej przykopie, siedział Jędrus Knapik i pilnował trzech krów, pasących się na ojcowskim ugorze. Co chwila, gdy która z nich poczęła się zbliżać ku przyległym polom, chłopiec się zrywał, szerokiem półkolem zabiegał jej drogę i nagał batogiem na środek ugoru. Wracając potem na dawne miejsce, siadał, spuszczał nogi w dół, i poglądał w milczeniu ku wsi, rozrzuconej na poszarpanem płaskowzgórzu, na którego najwyższej wyniosłości wznosił się biały, murowany kościół.

Słońce wzbiło się już wysoko, gdy Jędrus dojrzał wreszcie na miedzach młodszego brata, niosącego mu śniadanie.

— Jasiu, a bez co tak nierychło? — zapytał zdyszanego i czerwonego jak burak malca, gdy mu podał wysoki, gliniany garnuszek i kromkę razowego chleba.

— Abo to nie wiesz? Dy matusia nie go-

tuja, zwlec się z postania nie mogą, Szymonowa dopiero od siebie warzę przynieśli.

— Dopiero to? pewnikiem?

— Dy ci mówię... Tolim sam w chałupie nie sniadał, inom żur wypił, a chleb tom se bez drogę jadł. Szymonowa mają klucz od komory, sami ukroili chleba.

— Ho, ho, ale się rządzą... A matusia co jedli?

— Mają mleko, popili ta cedź-nieco, ale tak ino z ledwością...

Jędrus wziął się z apetytem do czarnego chleba, który popijał żurem, Jaś kończył ostatni swój kęs. Wtem nadleciał duży, śliczny motyl i zaczął opodal nisko nad ziemią kołować. Jaś zerwał się i pobiegł za nim. Spłoszony motyl uciekał coraz dalej. Jędrus widział, jak brat pędził przez rozległy ugór, potem przez gościniec, a wreszcie wpadł na łąkę i zniknął za gajem olszynowym. Gdy wrócił, chociaż bez ściganej zdobyczy, był zgrzany i czerwony, oczy mu błyszczały, młodość i radość życia promieniały z okrągłej twarzyczki sześciolatniego dzieciaka.

Rozochocony, nie odpoczywał długo. Położył się na wznak na skraju przykopy, przykrył twarz kapeluszem i odpychając się piętami,

obracał się w kółko. Podczas tego raz stracił równowagę i stoczył się na dół. Spodobała mu się ta zabawa i odtąd raz po raz wychodził na górę i staczał się do rowu, pokrzykując wesoło.

Przez chwilę patrzył na to Jędrus z politowaniem, wreszcie rzekł:

— Ej, Jasiek, Jasiek, dokazujesz, kieby ten młody pies, co ogona swego uchycić nie może i radujesz się, głupi, a nie masz czego. Lepiej poleciałbyś do chałupy, matusia sami, jak palec, tatuś w mieście, może im czego trza...

Mały przerwał dziecinną igraszkę, stanął na chwilę przed bratem i spoważniał.

— Kiej w chałupie okrutnie mi się cnie. Matusia ino drzemią, abo stękają, nie obzywają się nic...

— Bo chorzy, to i obezwać się im nie łacno. Leć, Jasiek, leć, ja też wnetki poženę. Krowy już setnie napasione, widzisz, jak im boki urosły. Leć, Jasiek, może matusi czego potrza, może wołają, a kole nich żywej duszy...

— Ano, to polecę — westchnął chłopczyzna i zabrawszy garnuszek, puścił się pędem do wsi.

Jędrus został znów sam wśród rozśpiewa-

nych, zielonych pól, pod wesołem niebem wiosennem. — Ale w dwunastoletnim jego sercu nie było wcale wesoło. Od dwóch niedziel matusia bardzo chorzeli. Nic jeść nie mogli, ino leżeli rozpaleni, jak to żelazo na kowadle, w gębie cięgiem im zasychało, a wczora i dziś to już ani na moment nie zdołali zwlec się z posłania na izbę. — Tatuś byli okrutnie markotni i źli, bo to teraz w polu robota robotę goni, trza było do okopywania najemników przez życia godzić, gotowizną samą płacić, bo strawy la wszystkich nie miałby kto uwarzyć, a gdowa po Szymku po Musiale także już do krzty swojej chałupy zaopuścić nie mogła...

Zaturbował się chłopiec, rozważając całą niedolę, jaka z powodu choroby matki zawiśła nad ich strzechą. Naraz przed oczyma mignęła mu kukułka, ścigana przez gromadę drobnego ptactwa. Raptownie wpadła między gałęzie dzikiej gruszy, stojącej w pobliżu na szerokiej miedzy, a hałaśliwy drobiazg ptasi, obsiadłszy drzewo, głośnem, namiętneńm ćwierkaniem dawał wyraz swym nieprzyjaznym uczuciom.

— A może kukułka co dobrego la matusi wykuka? — przeszło Jędrusiowi przez głowę i zaraz zapytał:

— Kukułeczko, kukułeczko, a kielaz roków matusi mojej sądzono?

Gdy ptak, siedząc w gęstwie gałęzi, nie odzywał się wcale, Jędrus powtórzył:

— Kukułeczko, kukułeczko, moja złociuśka, a kielaz roków matusi mojej sądzono?

Lecz i na to pytanie nie było odpowiedzi. Chwilę jeszcze kukułka pozostawała ukryta wśród gałęzi, poczem wymknęła się nagle, i lecąc nisko, nad rolami, pofrunęła hen daleko, za łąkę, i za gajem olszynowym zniknęła.

Jędrus westchnął smutno, oczy mu zwilgotniały, żal objął serce. Spędził krowy na drogę i gnał ku wsi, trąc co chwila oczy kułakiem i śpiesząc się do biednej matusi, której kukułka ani roku życia wykukać nie chciała.

* * *

Lato było śliczne, pogodne; ciepłe deszczyki skrapiały ziemię co parę dni, zboża szły w górę. Zaraz po świętym Janie wzięli się ludzie do podbierania różanek, najwcześniejszych ziemniaków, a niejeden to i wykopał jakie pół stajonka i wywiózł do miasta, aby przysporzyć nieco grosza na żniwa, które też zaczęły się wcześniej, bo z początkiem lipca i wśród gorą-

cych, słonecznych dni postępowały rażno. Cała wieś skąpana w słońcu, uwijała się z pracą, śpiewała i radowała się, a gdy wieczorem z góry ozwał się dzwon kościelny na Anioł Pański, ludziska dziękowali Panu Jezusowi za urodzaj, jakiego od dawna nie pamiętano.

Lecz dla Jędrusia te jasne, słoneczne tygodnie ciągnęły się w smutku, żalu i łzach. — Z matką było coraz gorzej. Wsiowe leki jej nie lubowały, był także raz doktor z miasta, zapisał lekarstwo, lecz i ono nie pomogło. Dopiero gdy przyszedł ksiądz proboszcz z Panem Jezusem, jakosi skrzepnęła, poweselała, zaczęła wołać jadła...

Ale nie długo to trwało; przez jeden dzień tylko radowała się kobiecina zdrowiem, co nawiedziło ją, jak to obzierające się przed zachodem słońko...

Raz, gdy Jędrus miał wyganiać bydło na odwieczerz — a było to w same żniwa — podszedł do matki i, jak zwykle, pocałował ją w rękę.

Wynędzniała, spocona, z twarzą jakby ze-znojona, otwarła szeroko oczy.

— To ty Jędrus? A cóż to? południe?

— O, już pożenę na odwieczerz.

— W chałupie nikogo?

— Juści, wszyscy w polu, i tatuś, i Szymonowa, i cztery najemne dzieuchy, a i Jasiak poleciał ś-nimi, zwyczajnie mały pędrak, coby się ino gził na polu. Jabym też dawno już pognał, krowy rwą się na świat, mało stajni nie rozniesą, ino jakosi nijak nie mogę ostawić was samych... Tak mi matusiu was żal...

— Dobryś Jędrus... Zawsześ był la mnie dobry... Pan Jezus cię za to nadgrodzi...

Oczy chłopca nabrzmiały łzami i łkanie zaczęło wstrząsać szczupłą postacią

— Adyc nie gnałbym ani wczora, ani dzisia, nadarłbym trawy w ziemniakach, po przykopach, zarzucił krowom, a ostał się z wami — ale abo to można? Tatuśby mnie sprali do półśmierci, Szymonowa zeswarzyli, że krowy przysuszone, że bez to ucięły...

— Juści... Żeń Jędrus, ja se haw będę spała, niczego mi nie potrza.. Nachyl się ociupinę, bo się podnieść nie mogę, niech cię pocałuję...

Chłopiec skłonił głowę, spieczone usta matki dotknęły go lekko, koścista, wybielała od choroby ręka przesunęła się po jasnych włosach.

— Ej, Jędrus, Jędrus, ciężko od was odchodzić, ale ci mówię nijak se nie krzywduj. — Zdaj się na wolę Pana Jezusową, ochfiaruj mu

swój smutek, a Jaśkiem się opiekuj, bo toto jeszcze małe, głupie... Oj, kochałam cię, chłopaku, mój pierworodny, strasniem cię kochała... wluubiłam się w twoje siwe ślepiea... Ale se dziecko nie krzywduj... Pan Jezus wie, co robi...

We trzy dni potem siwa i gniady od kuma Walentego wywiozły matusię na kościelny pagór, na mogiłki. Siwa była swoja, a gniadego ledwo że kum pożyczyli, bo mieli już u siebie zwózkę i duchem koń był potrzebny. Ale tatuś poraczyli go gorzałką, obiecali dać za to siwą na odwieczarz do zwózki i tak zgoda stanęła. Nie honor przecie byłoby dla gospodarza i całej famieliji, aby Knapikową jedna szkapa na cmentarz wiozła. I Jędrus, który był przy tej okazji, z wdzięczności pocałował chrzestnego ojca w łokieć.

Chłopiec dosyć był spokojny do chwili pogrzebu. Cios, jakiego doznał, ogłuszył go zrazu i jakby otumanił. Dopiero, gdy na cmentarzu żółta ziemia zadudniła na trumnie matki, coś jakby pękło mu koło serca i nieprzeparta żalność opanowała sierotę. Kiedy ludzie rozchodzić się poczynali, wymknął się na ubocze i niepostrzeżony przez nikogo, z za krzaków nasłuchiwał i patrzył, aż wszyscy ścieżką ku kościołowi wyjdą z cmentarza. Gdy zjeżdża-

jący z góry wóz zaturkotał na kamienistej drodze, a grabarz, usypawszy mogiłę, z łopata na ramieniu powlókł się ciężkim krokiem do domu, chłopiec wysunął się ostrożnie, rozejrzał dookoła, poczem przybiegł do świeżej mogiły i padł na nią z rozdzierającym szlochaniem.

— To ja, matuś, to ja, znowuśmy samiśmy we dwoje, jako nieraz w chałupie... Kazaliście mi se nie krzywdować, ale ja se okrutnie przez was będę krzywdował! Wzion mi was Pan Jezus, wzion, coście byli tacy dobrzy, coście zawsze mnie obraniali przed tatusiem, coście nadstawiali się za mnie... Nie chcę ja widzieć już dzisiaj chałupy, niech mnie zabiją, nie chcę krów żenąć, nie chcę nijakiej roboty, ni jadła, ino останę haw z wami, moja matuś serdeczna...

Wstał, wyczerpany, zgorączkowany, z oczyma czerwonymi od płaczu, odetchnął, i powiódł bolesnem spojrzeniem po szeregach zielonych mogił.

— Pełno haw krzyżów, a kiej ta tatuś dadzą wyrychtować jaki krzyż, mój Boże!... Tera cięgiem pilne roboty, zapomną... Ale będzie, matusiu, krzyż święty nad wami... Uwiję wam go zaruśko, uwiję...

Pobiegł za cmentarz, w rosące na zboczach

pagórka chojaki, nadarł gałązek świerczyny, powiązał wierzbowem łykiem i wkrótce zielony, niezgrabny krzyżyk leżał na świeżej mogile, a chłopiec, uspokojony nieco, klęczał z odkrytą głową odmawiając wieczny odpoczynek.

— Dobrze wam haw, a juści, ptactwo wam świergoce, drzewiny się chwieją, śpicie se, pogodzeni z Panem Jezusem, w łasce Jego przynajświętszej, ino mnie, sierocie, krzywda, mnie okrutna krzywda!... Nijak mi już wyżyć w chałupie...

I w samej rzeczy, coraz smutniej było odtąd w chacie Jędrusiowi. Wśród całodziennej pracy, kłopotów, i zabiegów gospodarskich, w parę dni po pogrzebie już ani wspomnienia nie było o nieboszczce. Szymonowa rządziła, jak prawowita gospodyni, którą też i została w parę niedziel, bo Knapik się z nią ożenił. Wdowa była nie bogata, tylko półtrzecia morga i pół lichej chałupy miała całego majątku, do tego nie młoda, ale za to wszelaka robota paliła się jej w rękach. Przez całe lato ciągle pomagała w gospodarstwie, krowy się jej darzyły, więc też chłop sam gospodarny i zapobiegliwy, za inną już się nie oglądał, chociaż mu wsiowe baby zaraz po pogrzebie niejedną gospodarską córkę raiły.

Dusza sieroty buntowała się głucho przeciw temu wszystkiemu, co dokoła niego się działo. W kilka tygodni po pogrzebie matki, jakoś wkrótce po Zielnej, odbywało się weselisko ojca. Podczas trzech dni hucznych zabaw, muzyki, gdy wszyscy się ochocili, wymykał się na cmentarz, zdołał grób matki zielenią, i skarżył się, jak przed żywą... W chacie wszystko się odmieniło. Przybyła wielka, malowana skrzynia, szafka oszklona na naczynie, moc pościeli, oraz kilka obrazów świętych, tak, że już ledwie mieściły się wszystkie na białych ścianach, wysoko pod pułapem. Do stajni wpędzono czwartą krowę, wiano nowej gospodyni.

Ile razy wieczorem widział Jędrus, jak macocha kładzie się do łóżka obok ojca na miejscu matki, serce darło się chłopakowi.

— O Jezu, Jezu, — myślał pełen głębokiego żalu — adyć dopiero parę niedziel, jak ligali haw matusia, a tera oni się kładą, jakby nigdy nic, a o biednej matusi to już nijakiego wspominku, nijakiej pogwarki...

* * *

Minęło lato, szła jesień, pożółkłe liście kładły się na drogach i szeleściły pod nogami

w sadach i na obejściach gospodarskich. — W październiku dni były pogodne, białe pajęczyny snuły się w słońcu, stada szczygłów obsiadały osty na pastwiskach, a pola znowu zaroiły się ludźmi. Na ziemniaczyskach, pełnych poczerniałych badyli, posuwały się zwolna szeregi pochylonych kopaczy, na role pod zasiewy wyjechały pługi i brony.

A Jędrusiowi było coraz smutniej i gorzej pod ojcowską strzechą. Macocha na święty Michał do pomocy w gospodarstwie sprowadziła córkę, co nie mając wyżycia we wsi, chodziła służbami. Dziewka była krzykliwa, zła, o byle co klęła i pomstowała na chłopca. Ojciec, rad że kobiety od rana do nocy uwiłają się koło dobytku, ani myślał ująć się kiedy za nim. Raz nawet, gdy dworski połowy zajął mu krowę, co wlaźła w pańską kapustę i Knapik musiał całego papierka za wykupienie zapłacić, takie synowi sprawił lanie, że chłopiec przez dwa dni ruszać się nie mógł. Wiadomo, ciężka ręka ojcowska, a serce matczyne słodzieńkie i miłosierne... Niedawne to czasy, gdy na boisku tatuś także okrutnie, przez opamiętania go bili, tak, że nijakiego głosu już nie wydał... Jak na to matusia, co

byli w polu nie nadlecą, jak nie zasłonią go sobą, tak potem bez cały tydzień mieli czarne sińce pod oczami..

Zbliżały się Zaduszki. Jędrus wyczekiwał ich z takim upragnieniem, jak po inne lata, godnich świąt lub Wielkanocy. — Wprawdzie okrutna żałość kładła mu się na serce, gdy pomyślał, że tego roku już i matusi zapalą świeczki na mogiłkach, jako dziadkowi, co dawno już pomarli, albo ujnien, ale pocieszała go inna nadzieja... Oto w Zaduszki, o północy, pójdzie na cmentarz i ujrzy matusię, jak będą szli na nabożeństwo do kościoła... Wiedział, że niebezpiecznie dla żywego człeka znajdować się tam o tej godzinie. Nieraz w zimie, gdy sąsiadki zeszyły się do nich na prządkę, gwarzyli o tem babka, a on słuchał z ciekawością i wszystko dobrze spamiętał. Umarli podobno bardzo źli, gdy zobaczą, że ich kto podpatruje. W zaduszną noc to nawet wsią iść niebezpiecznie. O północy, na rozstajnych drogach, koło figury, pono ma być ścisk, jak na jarmarku. Moc zmarłego ludu z parafialnych wsi, wracając z odwiedzin u najbliższych, dąży do kościoła na mszę.

Przemyślał to wszystko Jędrus, ale od zamiaru nie odstąpił. Na myśl o wyprawie na

cmentarz, naturalny lęk zwyciężało rzewne rozradowanie, od którego gorąco robiło się chłopcu koło serca, a w oczach dwoił się świat boży od łez...

— A niech ta! — mówił sobie. — Niech se duszyczki robią, co chcą, a ja do matusi pójdę... Przecie krześcijany, łba mi nie ukręcą.. Wezmę se na pomoc imię Jezus, wyjmę szkaplerz poświęcany na misyji i nijakie złe nie najdzie do mnie przystępu... A z chałupy się wysmyknę i żeby ta niewiedzieć co, do matusi pójdę, tak mi Panie Jezu dopomóż!

Nazajutrz po Wszystkich Świętych dzionek zbudził się mroźny, białe szrony pokryły strzechy, drzewa i pola, ale wnet wybiegło w górę słońko, zaróżowiło świat, a na mogiłkach, za kościołem, zaczęły po nabożeństwie płonąć skromne światełka. Gdzieniedzie na drewnianym krzyżu zawisł wieniec z świerczyny, lub barwinku, a u stóp kilku kamiennych nagrobków mrugały małe płomyki w lampkach kolorowych.

Przed wieczorem, w chacie Knapików powstał niemały kłopot. Parobek od wójta przyniósł róg z poleceniem, aby dzisiaj z pod tego numeru pełniono służbę nocną. We wsi nie było nocnego stróża, lecz róg gminny co dnia

szedł od domu do domu. Zwykle na nocne stróżowanie wychodził gospodarz, syn starszy lub parobek i chodząc do świtania, dawał znać trąbieniem, że czuwa.

— Akurat! — zachnął się Knapik, gdy się drzwi za posłańcem zamknęły — będę mu dzisiaj tłukł się po nocy, będę se biedy szukał! Zapłacę strof, a nikaj nie pójdę!...

— Jabym też za żadne pieniądze nie szła — rzekła gospodyni. — Niech ręka boska broni, co się hań na gościńcu, kole figury, albo i nade stawem będzie działo przed północkiem! A ty, Maryna, poszłabyś? — zwróciła się do córki.

— Gospodarz nie chcą, sami się bojacie, a ja zaśbym szła?... A niechby Jędrek raz poszedł... Dy i młodsze chłopaki we wsi stróżują nocami... Ale wylazłby to wam ten gamoń w nocy z chałupy?...

— A kto ci pedział, żebym nie wylazł?

Odezwanie się chłopca zrobiło wrażenie.

— Szedłbyś? — zapytał ojciec.

— A juści, żebym szedł. Czego mam się strachać? Nie pierwszyczna mi nocą iść bez wieś, wezmę se Boga na pomoc, zrobię krzyż święty na sobie i pójdę. Krzyż święty wszelakie złe odeгна...

— Racyja twoja Jędrak — przyświadczył skwapliwie Knapik, rad, że pięć szóstek »strofu« zostanie mu w kieszeni — coby ci zaś miało się stać? Wiadomo, wszystkie strachy, ino babskie bajania. Przelecesz se kole wójtowej chałupy, udrzesz mu się, co pary w gębie, a potem raz bez wieś i przed północkiem będziesz doma.

* * *

Gdy z jasnej izby wyszedł Jędrus na świat, objęła go zrazu noc, jakby mu kto dłonią oczy zasłonił. Ubrany w krótki kożuszek po matce, w ciężkich butach, baraniej czapce na głowie, z lagą w garści i rogiem na grubym postronku, przewieszonym przez ramię, potykał się z początku na wybojach i szedł w pierwszych chwilach prawie po omacku. Wnet jednak oczy chłopca przyzwyczały się do ciemności. Podniósł głowę i przekonał się, że noc była gwiaździsta, tylko połowę nieba przysłoniło olbrzymie, nieruchome cielsko czarnej chmury. Koło chat już uspijonych psy spuszczone z łańcuchów witały go ujadaniem, lecz poznavszy wsiowego, odchodziły spokojnie. Gdy był już w środku wsi, zbliżając się ku stawowi dworskiemu, otoczonemu od strony drogi półkolem

starych olch, mrowia jęły przebiegać mu po plecach. Od ogromnych drzew szły poszumy, ale jakieś przejmujące, pełne ponurej grozy... Podniósł róg do ust i zadał kilka razy. Głos rozplynał się w głębiach nocy i naokół zaległo tajemnicze milczenie. Nieokreślony lęk nagle opanował chłopca. Zatrząsł się cały, serce uderzyło na trwogę: zdało mu się, że w tej ciszy czai się coś na niego... Co prędzej wydobył szkaplerz, pocałował i przeżegnał się głośno:

— W Imię Ojca i Syna i Ducha świętego, amen.

Własne słowa, wyrzeczone wśród czarnej pustki i samotni, dziwnie obco go uderzyły. Zląkł się ich prawie. Wtem, za drzewami, jakby coś zachychotało przeciągle. Zaczął gorąco, z uniesieniem ducha, odmawiać »Pod Twoją obronę« i uspokajając się stopniowo, okrążał dalej staw, który wyłonił się z ciemności, świecąc martwym połyskiem, niby olbrzymie oko, zamarte a rozwarte na wieki. W stawie tym pono mieszkało »złe«, i dawniej, nocami, wodziło jadących. Ongi fornal dworski wpadł do niego z wozem i parą koni i utopił się. Mieszkały też tutaj boginki i za dawnych czasów dzieci babom odmieniały.

Teraz jeszcze kobiety z najbliższych chałup opowiadały, że piorą chusty kijankami i czasem w nocy słycać ode stawu okrutne pranie; ciap! ciap! ciap! rozlega się pono niekiedy aż do drugiego piana.

Ale Jędrus teraz ani zwodniczych światełek nad stawem nie widział, ani ciapania kijanek nie słyszał. Z modlitwą, odmawianą z gorącym przejęciem, wnikała do duszy chłopca odwaga i chciało mu się nawet zaśmiać z siebie, że przed chwilą dał się lękowi opanować.

Całkiem uspokojony, kierował się w górę ku kościołowi. Koło wójtowej chałupy trąbił siarczyście, aby słyszeli, że od Knapików stróżują, jak się patrzy. Tu i ówdzie psy wsiowe przybiegały do chłopca, niektóre łąsiły się i z uciechą towarzyszyły mu przez kawałek drogi. Dopiero na cmentarzu znalazł się zupełnie sam. Nie bał się, pewny był, że mając poświęcany szkaplerz na piersiach, niczego złego obawiać się nie potrzebuje, — ale noc, cmentarz, Zaduszki uczyniły swoje. Bezwiedna trwoga zaczęła nim trząść, jak listkiem osiki. Szczypta ukojenia wstąpiła weń, gdy dotarł do mogiły matki. Tam czuł się bezpieczniejszy. Zdjął czapkę, odmówił nabożnie wieczny

odpoczynek, Ojciec nasz, Zdrowaś i dziwnie bezsilny usiadł na brzeżku mogiły, ocierając rękawem strumienie potu z czoła i twarzy.

Dokoła wszystko stało w głębokiej, prawie czarnej pomroce. Bystre, młode oko dostrzegło zaledwie jakiś blizki krzyż, jakiś nagrobek kamienny, kilka nisko zwisających gałęzi i majaczącą opodal grupę brzózek z pniami białymi, jak zjawiska. Dalej już zionęła roz warta, niezgłębiona jak otchań, paszcza czarnej nocy. Na niebie cielsko olbrzymiej chmury rozwaliło się tak szeroko, że tylko wązki, granatowy płat, usiany gwiazdami, rozjaśniał nieco przepaściste, nadziemne przestrzenie. Szczytami drzew szły ciężkie poszumy, pełne szczególnej wymowy... Chłopcu się zdało, że słyszy w nich jakieś bolesne westchnienia, zawodzenia, błagania o ratunek... Poszumy wzma gały się z każdą chwilą, niosąc z sobą coraz głośniejsze płacze, jęki i biadania, na wysokościach czarny zwał chmur chłonał zwolna płat gwiazdzistego nieba, a wśród mogił, krzy żów i drzew cmentarnych czyniło się coraz straszniej. Naraz, jakby wszystko dokoła zaczęło ruszać się, żyć... Białym pniom brzózek wyrastały ręce i wśród chwiań ustawicznych zdawały się puszczać w dzikie płąsy... Z poza

kamiennego nagrobka coś ciemnego wymknęło się szybko ku kościołowi... tu i ówdzie z pośród mogił podnosiły się jakieś postacie...

Skamieniały, nie mogąc ruszyć się z miejsca, patrzył chłopczyzna na te dziwy i czary. Serce chwilami waliło mu w piersi jak cepem, tamując oddech; chwilami martwiało, w głowie poczynał się szum straszliwy, a wówczas wszystko, co majaczyło dokoła: drzewa, krzyże, gałęzie, rozpostarte nakształt skrzydeł potwornych, wirując zawrotaie, leciało mu na oczy.

Chwilami mroźne dreszcze przelatywały mu pod czaszką, objętą ogniem i lodowatą strugą spływały aż do kolan i stóp zmartwiałych, jakby obcych. Po plecach łąziły straszliwe mrowia, a wskrósł mózgu, jak ostrze rozpalone, tkwiło uparte poczucie, stawiające dębem włosy na głowie: oto ktoś stoi za nim, czuje go wyraźnie za sobą, i już, już dotknie kościwą ręką jego ramienia. Z czoła lał mu się zimny pot, spływający po twarzy razem ze łzami żalu, trwogi i niepojętego wzruszenia...

Wtem zdało mu się, że ktoś bardzo cicho woła nań po imieniu. Dreszcz lodowaty pochwyił go całego, od czupryny aż do pięt, przed oczyma mignęły płomienie...

— Jędrus! Jędrus!...

Chłopca jakby coś pchnęło nagle. Zachwiał się i stoczył z mogiły. Potworne huki, niby grzmoty ziemi walącej się na trumnę, szumiały mu pod czaszką długą chwilę... Wreszcie uci-chły — i na mgnienie oka zjawiła się przed nim matusia... Błada, zbiedzona, zaodziana w grubą chustkę, zmokniętą jak wśród ulewy, pochyliła się nad nim — i rzekła ze smutkiem:

— Widzisz Jędrus, to łyzy twoje tak ze mnie cieką...

.
Nazajutrz grabarz przechodzący cmentarzem spostrzegł martwego chłopca, leżącego wśród mogił z szkaplerzem wyjętym na wierzch kożuszka i rogiem gminnym, przewieszonym przez ramię. Niebieskie jego oczy, szeroko rozwarte, patrzyły w niezmierne dale, a na ustach ściągniętych i posiniałych jakby zawisło jakieś rzewne, niewymówione słowo...



CAUSE CELÈBRE -- W TOPOLÓWCE

Bartkowa Skibina, której chłop od czterech lat był w Ameryce i sprawiedliwie co kwartał przysyłał pieniądze, wyszedłszy z chałupy, z wielką żalością patrzyła, jak Sobek Baran orał na rozległej porębie.

...Hej, dał też Pan Jezus wiesnę, dał! Co ino minął święty Józef, a już słońko przygrzewa, boćki się gnieźdzą i ludziska do roboty się bierą, aże strach! Nawet stary Grzela, najbliższy sąsiad, co bez caluśką zimę leżał na piecu i w jadwienty już ksiądz z Panem Jezusem był u niego, skrzepnął jakosi i na boisku rześko kręci się kole pługa. Kto wie? Może sam jeszcze wydoli zaorać swoje stajania?...

Nie dziwota, że na ten widok kobiecie serce się ścisnęło i za chłopem cnęło okrutnie. Bo zawsze to, co chłop przy chałupie, to chłop. Gospodarstwa ta po prawdzie nie było, ot, dwa morgi piachu, dzieci nijak chować się nie chciały, wszystko toto w maleńkości pomarło:

ale przecie jakosi różniej było jej z chłopem, niżli dzisiaj samej, jak palec. Nijakiej też despety kole chałupy nikt nie śmiał się dopuścić. A teraz? Wywiesi wyprane chusty, abo przerzuci bez płot pierzyninę na słońko i wyjdzie ino «na kawałek» do Haptaški, czy Żylaziny — a już te psiawiary Sobkowe chłopaki abo chusty zrzucą, abo, jak tamtej wiesny, pierzynę na gnojówkę cisną, abo inksze jeszcze, gorsze despety wyprawują... A pies od Surdeja od Wojtka nie zagryzł jej łońskiego roku młódki? I gdzie tu chudobna kobieta najdzie na to sprawiedliwość? Prawować się bez rząd, toby się nie prawowała, bo jak zapamięta, ani nieboszczyk tatuś, ani matusia nie prawowali się nigdy; zaś we gminie nijakiej sprawiedliwości nie najdzie. Żle samej babie przez chłopą przy chałupie i tylo!

Aleć i to prawda, że odkąd pieniądze od niego przychodzą, nie bieduje. Co jedna gęba do miski, to nie dwie, abo i więcej... «Ma ta naprzód Pan Jezus» krowinę z przychowkiem, wieprzka i kiela gadziny, więc nie obsycha przez okrasy, jak pierwej; masło robi, w poniektóry wtorek i kopę jaj wyniesie na miasto, podatki płaci akuratnie, a co się tyczy przyrodziewy, to w niedzielę nie wygląda go-

rzej od samej Tomkowej, wielkiej bogaczki na dwudziestu czterech morgach!

Teraz Kwiatka chorzała jej po ocieczeniu, lecz od wczora jakosi wydobrzała: poziera rzetelnie na gospodynię, je jak się patrzy, a rano przy doju to ją tak ogonem grzmotnęła w głowę, że aż jej chuścina spadła na ziemię. To też Bartkowa zdjęła z niej stary płaszcz, co go miała od deszczu, zawiesiła na płocie i pobiegła «na kawalek» do kumy Haptaśki, z którą od dawności bardzo się nawidziły. Bo też strasznie miętkiego serca była to kobieta. Nieraz, bywało, wsypie jej do fartucha to garniec ziemniaków, to parę główek kapusty, niby to na odrodek; a potem, gdy przyjdzie co do czego, powieda, że nijakiego odrobku nie żąda, a co dała, to ino tak, bez dobroć, kiej dziękować Panu Jezusowi jest wszelki dostatek w chałupie. Od wczora miała wielkie bolenie na wnątrzu, trza było przecie zajrzeć do niej.

Wróciwszy, Bartkowa aże za głowę się złapała. Płaszcz na płocie nie było, tylko część pleców z jednym rękawem znalazła zdala od chałupy na drodze. Więc też nie dziwota, że sakramencka złość ogarnęła kobietę. Jak wzięła pomstować na Sobkowe dzieci, tegoby na wółowej skórze nie spisał. Bo to pewnikiem one

zrobiły; chociaż chodziły do szkoły, ale wiadomo, były zbyt okrutne. Do Sobka na skargę postanowiła nie chodzić, bo wiedziała, że nic nie wskóra. Taki-ta i ociec ten Sobek. Nie tylko, że ich nie wykaręta, jak się patrzy, ale jej powie: «Nie łażcie ciągiem po chałupach, to wam nikt niczego nie ruszy» — a Sobkowa to ją jeszcze gębą obsiedzie... Umyśliła sobie gdzieindziej szukać spawiedliwości. Odziawszy się w odświętną krasą chustkę, wzięła sześć jajek i poszła do pana do szkoły.

W kuchni oddała jajka samej pani i stanawszy we drzwiach pokoju, pochwaliła Pana Boga przed panem prefesurem.

— Na wieki wieków... O cóż to? — zapytał z pewną niecierpliwością pan Śliwa, siedzący nad stosem zadań.

Właśnie w czasie obiadu otrzymał kartkę od kolegi z sąsiedniej wsi z tem lakonicznem zawiadomieniem: «Był dziś u mnie inspektor, ale wszystko dobrze poszło. Został na obiedzie u proboszcza. Może po południu będzie u Ciebie — miej się na baczności». Z tego powodu pan Śliwa, nie dokończywszy obiadu, wziął się do poprawiania zadań, a służąca poszła do klasy przecierać szyby i omiatać pajęczyny.

— O cóż to? — powtórzył. — Jak się na-

zywacie? bo was nie znam. Dzieci nie macie w szkole?

— A ino. Wszystko zabrał Pan Jezus do chwały Swojej Przenajświętszej... Ja Skibina, haw z podła, ode starego Grzeli, co to mam chłopa w Hameryce...

— Cóż powiecie? A mówcie prędko, bo czasu nie mam...

Całując w rękę pana Śliwę, rzekła:

— Z przeproszeniem pana profesura, ja ino przyszła z uzaleniem. Trudno se radę dać z tymi huncwotami... Długo wytrzymałam, ale już dłużej nie mogę... Przecie musi być na to jakaś karętność, a kajże lepsza karętność, jak nie we szkole?

— Ale o cóż wam idzie? Mówcie prędziej kobieto, ja czasu nie mam!...

— Niech ta panu profesurowi nie będzie markotno — rzekła ciszej, nachylając się ku panu Śliwie — ostawiłam ta w kuchni parę jajek...

— Dobrze, lecz o cóż wam właściwie idzie?

— Dy o ten płaszcz! Stare to było, bo stare, ale przy chałupie wszystko się przyda...

Pan Śliwa, zrezygnawszy z szybkiego porozumienia się ze Skibiną, wziął się do dalszego poprawiania zadań.

— O jaki płaszcz? — bąknął.

— Ano, z przeproszeniem pana profesura, toli tak było. Przed południem suszyłam se płaszcz, com nim nakrywała chore bydlę. Ocie-liła się krowina, strasznie chorzała, miałam ta-ki-ta po chłopie stary płaszcz i nakrywałam toto. Bydlę płaszczysko ściarało, zawiesiłam na płocie kóli obeschnięcia i tyło ino, com na kawałek do Haptaśki skokła — wracam, a tu z mojego płaszczu ino się jeden rękaw i ka-wałek plic ostał... Przecie też, z przeprosze-niem pana profesura, musi być na to jakaś karętność, a kajze ma być lepsza...

— Więc to wam szkolne dzieci zrobiły?

— A ino, rańsze, jak do dom wracały. Pe-wnikiem od Barana od Sobka, bo okrutnie despetne. Łońskiego roku to mi pierzyninę na gnojówkę cisły — a wszystko bez to, co chłopu przy chałupie nie czują...

— Ja się jutro dowiem, które to zrobiły i surowo ukarzę... Już nic podobnego się nie powtórzy, bądźcie pewni...

— Ślicznie panu profesurowi dziękuję... Łach to był, bo łach, aleć przy gospodarstwie kaźden łach przydatny...

— Przekonam się kto zawinił i ukarzę. Mo-żecie być spokojni. Bądźcie zdrowi.

— Ślicznie panu profesurowi dziękuję — powtórzyła, schylając mu się do kolan — bo przecie na takie despety musi być jakaś ka-
rętność, a kajże ma być lepsza, jak nie we
szkole?

* * *

Nazajutrz przed siódmą rano, zanim dzieci zaczęły schodzić się na naukę, w kuchni u pana Śliwy toczyła się bardzo głośna, kobieca rozmowa.

Przyszła raz jeszcze Skibina wraz z Tomkową Skowronową. O ile pierwsza była «chudobna», o tyle druga zażywała sławy «wielgiej bogaczki». Tomasz Skowron miał 24 morgów pola, sześć krów, dwa ciołki i dwa kasztany jak smoki. Ale z syna Jakóba, co «czwartą zimę» chodził już do trzeciej klasy, nie miał pociechy. «Rebelijant» był to ogromny. Wraz z bratem swoim stryjecznym Jędrzejem stanowili parę największych urwiszów w szkole. — Nienawidząc się na wzór rodziców, gdzie tylko mogli czubili się jak koguty. Przed rokiem, podczas świąt Wielkanocnych, Jakób Jędrzejowi zwichnął nawet rękę, tak, że przez parę tygodni chłopiec nie mógł chodzić do szkoły.

Skowronowa posłyszawszy od sąsiadek, które

pono tę okrutną despetę z płaszczem widziały, że i jej chłopak należał do tego, prosiła:

— Niech ta pan profesur będzie łaskawy bardzo go nie przeparzyć, ino go na hareśt ostawić. Jakiś mi teraz nie zdrów... Hareśt mu nie zaszkodzi — niech hycel posiedzi...

A Bartkowa, która już z gniewu wczorajszego ochłonęła, rzekła:

— Z przeproszeniem pana profesura, niech pan jeszcze ten raz im pofolguje... bo ja już taka jestem, co w sercu nijakiej zawziętości nie utrzymam...

— Cichoście! — zaprotestowała Tomkowa. — Niech pan wykaręta, jak się patrzy! Tобы se psiawiary dopiero pozwalały, żeby im to na sucho uszło! Ino mego to niech ta pan nie przeparzy, a na hareśt ostawi... Wedle tego płaszcz to i u nas był wczora kłopot. Parobek zdybał na dródze kawałek, wzion to to i ogląda se na boisku. Jak go gospodarz ujrzeli, tak zaraz na niego:

...A skąd to masz?

..Przyczepiło mi się jakosi do woza, jakem w południe z lasa wracał...

Jak gospodarz nie uchycą bata, jak go nie ściagną bez plecy:

...A ty huncwocie, przyczepiło ci się? Ja tyle roków jeżdżę i do lasa i do miasta i jakosi nie mi się jeszcze nie przyczepiło! Co nie twoje, to nie rusz, hyclu jeden!

Straśnie gospodarz byli rozhankorzeni. — I Kubę byliby przeparzyli, alem go za wrota wyгнаła...

W klasie, po stosownej budującej przemowie, pan Śliwa zapytał;

— Którzy z was widzieli, kto wczoraj przed południem podał płaszcz Bartłomiejowej Skibinie?

Na to wstali dwaj bracia Baranowie, Jan i Franciszek, i oświadczyli, że zrobił to Jędrzej i Jakób Skowron.

— Cóż Jakób, prawda to?

— Nie prawda, proszę pana, bo najpierw Baranowie zaczęli ten płaszcz ciągnąć...

— Ciągnęli Baranowie? Kto widział?

Wstał Jędrzej Skowron.

— Jan Baran, to wiem, że ciągnął, a —

— Jan Baran, ciągnąłeś?

— Nie, proszę pana.

— Mów prawdę, bo za kłamstwo będzie większa kara!

Po chwili milczenia, ze spuszczoną głową wystękał:

— Ja... tom ciągnął... ale lekuśko i nie długo, a Franek to wcale nie ciągnął...

— Franciszek, nie ciągnąłeś?

— Nie ciągnąłem... a czy Jasiak ciągnął, tom nie widział, bom poleciał naprzód, a oni się w tyle ostali...

...Jakie to szelmy chytre a solidarne! — pomyślał z pewnem zadowoleniem pan Śliwa. Z surową jednak miną badał dalej:

— Ale kto potargał ten płaszcz?

Na to zuów powstał Jędrzej Skowron.

— Proszę pana, to tak było. Szliśmy ze szkoły; dziewczuchy już wszystkie przeszły a myśmy się z Kubą pod chałupą Bartkowej trochę bili...

— Znowuście się bili?... To ładnie!... Cóż dalej?

— Potem zdjąłem ten płaszcz, odziałem się w niego i mówię: «Patrzcie chłopcy, tak wygląda Bartkowa, gdy pasie Kwiatę, jak deszcz idzie!» Chciałem go zaraz powiesić, ale Kuba złapał za jeden koniec i zaczął lecieć... Ja za nim, potem Baran i takeśmy gnali do domu... W rękach jakosi sam się podarł, zwyczajnie starzyzna...

Ostatecznie obaj Skowronowie i Jan Baran, jako winni podarcia płaszcza siedzieli po trzy

godziny w kozie. Ponieważ zaś inspektor odjechał zadowolony, pan Śliwa więc wróciwszy z klasy z humorem opowiedział żonie o przeprowadzonym śledztwie.

Wieczorem, gdy państwo Śliwowie siedzieli przy herbacie, odwiedził ich «przewodniczący» Maciąg. Była to poważna osobistość w Topolówce. Od niepamiętnych czasów radny, przez lat kilka piastował godność wójta, potem zaś bez przerwy był przewodniczącym Rady szkolnej miejscowej. Wysoki, barczysty, nieumiejący pisać, tylko trochę czytać na «modlącej księżce» Maciąg był bardzo szanowany we wsi; parobcy i dziewczki, a nawet chudobne «gdowy» spotkawszy go, całowały zawsze w rękę, na każdej radzie i gromadzie zabierał zawsze głos, a mówił nie bylejako.

Pan Śliwa nie mógłby powiedzieć, że Maciąg przez czas dwuletniego jego pobytu w tej wsi zrobił cośkolwiek dla szkoły. Jak dawniej, tak i teraz drzwi się nie domykały, dach na budynku podobnym był do sita i podczas deszczu tak w klasie, jak i w mieszkaniu z powały woda się lała, piec w klasie dymił niemiłosiernie, a myszy pod dziurawą podłogą harcowały po staremu. Mimo to nie mógł upomnieć się urzędownie u wyższej władzy o te reperacye. Ma-

ciąg był tak uprzejmym człowiekiem, tak zawsze wysoko podnosił jego pracowitość i sumienność w szkole, wreszcie tak ochoczo przyznawał w zasadzie słusność wszystkim jego żądaniom, że żadną miarą nie można go było poprostu skarżyć. Nieraz pan Śliwa po odejściu przewodniczącego zgoła nie wiedział, czy odmówił mu czegoś, czy też przyrzekł, taki był w rozmowie słodki a ślizki i wymijający. Bo też to był urodzony dyplomata. Zawsze przyrzekał, zawsze nie dotrzymał, a w rezultacie tak gładko i pięknie ze wszystkiego się wywinął, że w żaden sposób nie można z nim było dojść do końca.

Ujrawszy Maciąga we drzwiach, pan Śliwa wstał, podał mu rękę i prosił siadać. Pani naląła mu szklankę herbaty i zaczęła się rozmowa.

— Dziękować Panu Jezusowi, pięknie na świecie — mówił przybyły — kiejże pan profesor zacznie u siebie pokładać?

— W tych dniach.

— Ziemniaki pewnikiem pan posadzi...

— Tak jest, nawozu mam dosyć, może się udadzą...

— Żeby ino pogoda dopisała... Bo mnie się

widzi, że ta wieszna jakosi strasznie dobra... Nie trza jej bardzo dowierzać...

W ten sposób «okolicznościami» Maciąg każdą rozmowę zaczynał.

Dopiero po dłuższej pogawędce o tem i owem zauważył, że te baby o wszystkim muszą wiedzieć i zawdy coś nowego mają na językach.

— Ot i dzisiaj słyshałem — mówił — że pono Bartkowej rańsze dzieci jakiś porządny płaszcz podarły.

— Tak, podarły, ale to był stary płaszczysko, bez wartości. Wczoraj żaliła się na to u mnie ta kobieta, a chłopców dziś ukarałem.

Maciąg pokiwał głową.

— Aleć to despetne gałgany! A któreż to? Sobkowe?

— Jeden z nich, a oprócz tego Skowronowie.

— Hm... a jakże panu prefesuwowi się widzi, czy ja w tym przypadku niby z urzędu nie powinienem wglądnać w tę sprawę?

— Zdaje mi się, że rzecz załatwiona, bo chłopcy ukarani... A cóż wy macie zamiar uczynić?

— Ja niby nijakiego zamiaru nie mam, tak se ino uważuję, czybym też jako przewodniczący nie powinien ich od siebie wykarętać...

Niby kóli tego, że się to stało na drodze we gminie... Możeby se do serca wzieni... Człek ta, nie chwalący się, we gminie jakowys szacunek ma i ludziska se moje słowa w uwagę bierą... Żeby ino chciał, byłbym wójtem na trzeci zawód... Jak państwa szacuję, wszystkie głosy przez dwóch padły na mnie... Nie chwalący się, i nieboszczyk pan hrabia, dziedzic nasz (niech mu ta Pan Bóg da wieczne odpocznienie!) nawidził mnie bardzo. Jak mnie spotkał (kiedym to jeszcze wójtem był), czy na mieście, czyliłm też do niego do Wierzb in kóli jakiego gminnego jenteresu zaszedł, to zawdy już tyle naradził się ze mną, to o tem, to o owem, aże strach! Bywało, spotkamy się w mieście: on idzie do Wydziału, a ja z Wydziału do starostwa... Juści, pokłoniłem się, pocałowałem w rękę, bo to, państwo rozumią, jednako osoba...

— Jak się macie, panie wójcie? — powitał mnie zawdy pan hrabia.

— Wedle woli boskiej, proszę łaski jaśnie pana hrabiego.

— A cóż tam słyhać w Topolówce?

— Różnie, proszę łaski jaśnie pana hrabiego... nie najgorzej ta jeszcze, dziękować Panu Jezusowi...

— To mnie cieszy, panie wójcie. No, bądźcie zdrowi!

I tak zawdy naradził się ze mną. Okrutnie mnie nawidził nieboszczyk pan hrabia!

Pan Śliwa, wysłuchawszy po raz może dwudziesty tego opowiadania, zapytał:

— Lecz jakże myślicie postąpić wobec wypadku z tym płaszczem?

— Możebym na ten przykład kiej tak zaszedł do klasy i przemówił do nich... niby, że ludzie się żalą, że takie zbijaki, że pana prefesura martwią...

— A dobrze. Nie mam nic przeciw temu, chociaż właściwie uważam rzecz za załatwioną.

Za chwilę, Maciąg uradowany, że będzie znowu miał sposobność «przedmowę» powiedzieć, pożegnawszy serdecznie państwa Śliwów, podziękowawszy za poczęstne i pochwaliwszy Pana Boga, wyszedł.

Nazajutrz rano, za ledwie pan Śliwa odczytał katalog, wszedł do klasy. Dzieci powstały, a pleczysty przewodniczący, przywitawszy się z nim podaniem ręki, stanął przed ławkami, musnął przystrzyżonego wąsa i rzekł:

— Moje dzieci! Różne wiady mnie doszły, że wychodzący ze szkoły despety rozmaite wyprawujecie i cudzą własność niszcycie. Moje

dzieci! Dy sam Pan Bóg w przykazaniach nakazał nie kraść i nie pożądać cudzego dobra, ani przyodziewy, ani nijakiej rzeczy, która jego jest... A wy, słyszę, tak se postępujecie!! Czy wy macie sumienie takie rebelije wyprawować i martwić pana profesura, co was uczy i morduje się nad wami, żeby z was przecie co zrobić? Czy wy macie sumienie? — Tfu, wstyďte się!... Ja wiem, którzy to Bartkowej płaszcz podarli, — powiedali mi ludzie — a na drugi raz, gdyby na ten przykład taki jentes się stał — to proszę pana profesura (tu zwrócił się w sposób uroczysty ku panu Śliwie) — to bardzo proszę pana profesura urzędownie dać mi wiadę, a wtedy... ja was za to... zbytniki jedne... (tutaj głos podniósł i poczerwieniał) sam, jak się patrzy, tu, we szkole, przeparzę!... Nie będzie pan profesur z wami, huncwoty jedne, mordował się, ale (wrzeszczał zaperzony) jak mnie tu widzicie, sam przyjdę, porwę chrzcinę i w pokład dam!!...

Ta «przedmowa», której dzieci, stojąc jak żołnierze przed frontem, w milczeniu pełnem bojaźni wysłuchały, uczyniła z podarcia płaszcza Bartkowej, prawdziwą «cause celèbre» w Topolówce.

Rozповідаły o niej gosposie z wielkiem

zainteresowaniem przez całe trzy dni, aż do najbliższego wstrząsającego wypadku. A był to wypadek nie lada: Pawłowa Smoleńska, której chłop od trzech lat przebywał w Ameryce — powiła bliźnięta!!



NEMESIS

Wąły, blady mężczyzna, z zaciśniętymi na kolanach rękami, siedział nisko pochylony nad wspaniałą kołyską i w ponurem skupieniu wpatrywał się pięknymi, szaro-niebieskimi oczyma w leżące nieruchomo dziecko. Na białe jego czoło wystąpiły pręgi niebieskich żył, usta zacisnęły się boleśnie, szczupła twarz wyglądała jakby skamieniała.

Z przepychem urządzona sypialnia tonęła w seledynowem świetle nocnej lampy. Dokoła zaległa cisza, jakby w całym pałacu książęcym nie było żywej istoty. Tylko zegar z przyległego pokoju odzywał się ledwo dosłyszalnymi uderzeniami wahadła, i wiosenne powiewy, wpływające przez uchylone okno, przynosiły z parku oddalone szумы starych drzew...

Na poduszczyku spoczywała okrągła główka dziecięcia w czepeczku, ozdobionym różowymi kokardkami. Ale twarzyczka, mająca w łagodnej, zielonawej przeźroczy, była jakby starą, zgrzybiałą. Doły w policzkach, zapadnięte skro-

nie i wydłużony nosek z wydatną chrząstką w pośrodku, mówiły wyraźnie, że to już martwe ciało, tylko otwierające się co chwila sine usteczka i niezagaśnięte, te same co u ojca szaro-niebieskie oczy świadczyły, że błądy płomyczek życia unosi się jeszcze nad tą biedną główką...

Naraz oczy dziecka, jakby pociągnięte niewidzialną siłą, zwróciły się ku ojcu i pozostały nieruchomo utkwione w jego źrenicach. Błądy męczyzna zadrżał nerwowo, lecz patrzył dalej w tę drugą, własną parę konających oczu... Zdało się, że te dwie blizkie dusze po promieniach spojrzeń wyszły ku sobie i z łkaniem wzięły się w objęcia...

— Co ty mi chcesz powiedzieć? — zaszepotał, wstrząsany zimnym dreszczem. — Przeklinasz mnie? Przeklinasz za to nędzne życie, które było dla ciebie, biedny męczenniku, jedną wielką katuszą? Czemu nie z matki, lecz ze mnie wzięłeś wszystko?... I te oczy i to czoło i tę chorobę, dla ciebie już po kilku miesiącach życia śmiertelną?...

Dziecię wydało cichy, skarżący się jęk i znowu w milczeniu otwierało raz po raz usteczka, ściągnięte w dzióbek, jak u ptaszynki...

— Oh usnij już, usnij, błagam cię! Usnij,

nie oddychaj i nie patrz, nie patrz... Niechaj to będzie ostatnie twoje tchnienie... Boże, niechaj to będzie ostatnie...

Niby obręcz żelazna ścisnęła jego gardło, a spazm żalu rozdzierał zapadłą pierś, gdy drżącymi ustami szeptał te dziwne prośby... Jakże pragnął, aby to biedactwo przestało już cierpieć! Jak serce mu się krajało, gdy widział, że lekarz na prośby żony sztucznie tylko utrzymuje je przy życiu!... Był właśnie przed kilku godzinami i miał wieczorem znowu przyjechać. Posłano powóz po niego. Gdy na oznaczony czas nie przybył, zrozpaczona kobieta kazała zaprządz i sama pojechała naprzeciw, on zaś, ojciec, nie mogąc znieść obcych twarzy, kazał mamce wyjść i został w tej ostatniej godzinie ze swym nieszczęsnym potomkiem sam na sam...

— Jeszcze? jeszcze? O Boże, miej litość!... Uśnij, ach uśnij... Nie mów już nic... wiem wszystko...

Zdawało mu się, że on sam kona, że to jego źrenice zapadły w głąb, że jego czoło oblewać zaczęła niebieska fala, zwiastunka śmierci...

A stare drzewa szumiały poważnie i zatopioną w seledynowych blaskach komnatę wypełniały jakimiś tajemniczymi szepty...

...Oto dola twoja, przeznaczenie twoje. Od-

jęte od ciebie błogosławieństwo nieba, błogosławieństwo miłości dziecka... Ani razu małe rączęta nie oplotą twej szyi, ani razu ukochane usteczka nie nazwą cię przesłodkiem nazwaniem... Ten stary, pradziadowski park nigdy wśród swych cienistych szpalerów nie ujrzywas obu — ojca i syna. Radość, jaką napawać się może ostatni z nędzarzy, pracujący w twych dobrach rozległych, odmówiona tobie na zawsze! Każde twe dziecię na zagładę przeznaczone i ilekroć one konać będą, ty z nimi konać musisz, ty, który liczysz się do szczęśliwych tego świata, ty, dziedzic licznych wsi, pól i lasów żywicznych, niosących zdrowie tym, których Bóg chce uzdrowić... Ale ciebie, ani twego dziecka nic nie uzdrowi: ni złoto twoje, ni życiodajne powietrze twych lasów sosnowych... Klątwa nad tobą, klątwa, klątwa...

Strasznem poczuciem zgnębiony, ukrył wy-nędzniałą twarz w dłoniach, i cierpnąc na całym ciele, słuchał dalej głosów złowrogich, dobywających się z niepojętych, tajemniczych głębin...

...Pod ciężkiem brzemieniem krzywdy ludzkiej upadasz, krzywdy pokoleń, które już pomarły; pobiły cię łyzy, które już dawno śmierć osuszyła... Za winy ojców i praojców cierpisz, co wśród uciech i radości rozrzucali złoto i zdro-

wie, nie troszcząc się, czy rzesze na nich pracujące nie były głodne, nie były katowane... I zostawili ci w spuściźnie marne, wątłe ciało, a niezbadane Przeznaczenie dało duszę szlachetną, rozbudzoną, wielką, i rzuciło w nią palące nasienie odpowiedzialności... I tutaj źródło twej męki i niedoli. Siejesz dookoła miłość, przebaczenie i opiekę troskliwego ojca, a zbierasz plon nienawiści, niedowierzania i fałszu. Pojąłeś cały ogrom wiekowego, niespłaconego długu, pragniesz go spłacić życiem całym, a zaś wszystko idzie na marne: i twe górne pragnienia, i wzniosłe śluby Bogu czynione, i ukochanie jedyne, najdroższa podpora życia dogorywa w niezasażonej męce... A czy wiesz, czemu? — czemu? Bo oto od lat niezliczonych z zapadłych, bezimiennych mogił setki czoł uznojonych, bark schłostanych i rąk, poczerniałych od pracy i trudu wołają: «Krzywda nam się działa!... Sprawiedliwości! sprawiedliwości!» Z mogił dobywają się czarne, do krwi spracowane ręce...

Grozą przejęty, odjął nagle dłonie od oczu, bo zdało mu się, że nad kołyską ukazały się jakieś złe, chmurne oblicza i jakieś grube, żyłaste ręce sięgnęły po główkę jego dziecka...

*

...Jeszcze jeden jęk głuchy, przebolesny — usteczka pozostały wpółotwarte, źrenice zapadły bardziej w głąb, ale patrzą ciągle i jeszcze coś mówią, chociaż zgasiło je tchnienie śmierci.

Odwinąwszy ostrożnie atlasową kołderkę, wziął ojciec drżącymi rękoma spowite, zmarłe dziecię, przytulił do piersi i pobladłymi jak kreda wargami całował jeszcze ciepłe czołko. Lodowate dreszcze spływały mu od mózgu aż do stóp, gardło ścisnęła ciągle obręcz żelazna, w sercu paliła się jakby rana otwarta...

— Śpisz, kochany, śpisz wreszcie — szep-
tał gorączkowo. — O tak — dobrze, dobrze...
Śpij niedoszły dziedzicu naszej mitry przesła-
wnej, który umarłeś z głodu... Wczoraj jeszcze
z otwartą buzią i temi mojemu oczyma, roz-
szerzonymi trwogą, szukałeś koło siebie po-
karmu!... Śpij, nie budź się, nie patrz, i o nic
nie pytaj... Ofiary prześlągnięcia w rozdziera-
jących mękach muszą oddawać życie — i mu-
szą być niewinne...



PO WĘGLE...

Dzień wstał blady, jak widmo, roztoczył swe szare, ciężkie skrzydła nad równinami, nad wioską i zajrzał do małych okien mego domu. Głucha cisza panowała w przestworach. Najlżejszy nawet wietrzyk nie poruszał nagich gałązek drzew przed domem, ani deszcz nie pluskał pod oknami, choć zdawał się wisieć nad ziemią. Nic życia, nic siły i świeżości nie niósł z sobą ten poranek.

Ubierając się, patrzyłem w dziwnem zgnębieniu na leżący opodal ugór, brudno-żółty po wczorajszej odwilży, a rojący się właśnie od czarniawy kruków i gawronów, szukających żeru.

Za chwilę wyszedłem. Droga była błotnista, oślizgła, powietrze ciepłe, prawie wiosenne, lecz ciężkie i zgniłe; niebo, jednostajnie szare, rozciągało się nisko, niby sklepienie olbrzymiego więzienia, pełnego smutnych skazańców...

Droga biegła pod górę. Mijały mnie wozy

chłopskie przeważnie puste, z rozsuniętymi półkoszkami. Jechały po węgle do Zagajowa, wsi o pół mili odległej, gdzie na stację kolei co parę pni nadchodził świeży wagon. Konięta chłostane batami, zbierały nogi i choć pod górę, szły dosyć szybko.

Gospodarz Wojdyła zatrzymał konie i zapytał, czybym się nie przysiadł. Właściwie szedłem bez celu i powinienem był wrócić do domu, ale wgramoliłem się na wóz i usiadłem obok niego.

— Wio, gniady! A pójdzies ścierwo! wio! — krzyczał chłop, smagając silnie jednego z koni, który ciągle ustawał. — A to panie, paskudna zima! Nijakiego śniegu, ani przymrozka — rzekł do mnie.

— Tak jest, szkaradna i bardzo niezdrowa. Zdaje się, że wiosna znowu będzie późna i mokra.

— Gniady, a pójdzies, psiachmać! Wio, heta! Oj, zdałby się już lepszy rok, żeby się Pan Jezus zlitował... Ciężkiem idą i idą te mokre roki, — ziemniaki gniją, — zboża nie ma kiej zwieźć... O, dzisz go, już ustaje! Wio! a pójdzies, ścierwo, wio!

Zaciał kilka razy gniadego z taką siłą, że aż sam poczerwieniał, a koń puścił się pra-

wie galopem i wyprzedził na chwilę towarzyszkę, siwą i dość żwawą kobyłkę.

— Czy ten koń taki leniwy, czy słaby? — zapytałem spokojnie, choć nerwy moje wołały: gwałtu!

— Kaj on ta słaby... Żre, jak się patrzy, ino leniwy, bo stary... Już mu dwadzieścia roków... Nieboszczyk pan ociec przychowali toto ze źrebięcia, a ja tem robię... Ta siwa, to kupna; będzie miała ze dwanaście.. O, jużby se staną, że batem nie wywijam! Wio! wio!

— Żal wam będzie kiedyś z nim się rozstawać, bo to jakby towarzysz i wierny robotnik. Tyle lat wam orał, bronował, snopki zwoził...

Spojrzał na mnie szczególnym wzrokiem, jakby nie rozumiejąc, poczem rzekł:

— Ano juści... Zawsze, co swoje, przychowane, to lepsze, jak kupne... Będę nim robił, póki się da, a potem wezmę tyło, co za skórę... Wio! Stajes, psiachmać?! Ja ci dam! Wio! wišta!

Zaczął go bić z całej siły, bo aż się uniósł dla lepszego rozmachu. Siwa, chociaż nic się jej nie dostało, położywszy uszy, uciekała krótkim galopem; gniady równał się z nią chwilami, zbierając co żywo kudłate, grube nogi.

Zbliżaliśmy się do starej karczmy, co stała samotnie przy krzyżujących się drogach. Nadjechała właśnie z boku fura, zaprzężona w jedną szkapę. Półkoszki odarte, dziurawe, chłop w brudnych szczątkach kożucha, czy sukmany i w zrudziałej czapie na głowie; szkapina mała, utykająca na przednią nogę. Pod ulewą smagań umykała, jak mogła, lecz powoli, niedołęźnie i kulejąc tak silnie, że co krok pyskiem prawie tłukła o kolano.

I ani blady promyczek nie przedarł się przez szarą pokrywę nieba, co gniotła wszystko bezlitośnie: i te katowane konie, i tych ludzi, i tę karczmę, pod niską, omszałą strzechą...

Innym, niż zwykle, głęboko sięgającym wzrokiem patrzyłem w tej chwili na te powszednie rzeczy... Coś jęczało we mnie, gdy baty świstały, zostawiając pręgi na chudych grzbietach, a jakiś demon z piekielną ironią szeptał mi do ucha:

— ...Oto życie!... Oto istotna treść życia: przemoc i okrucieństwo... Gdzie spojrzysz, wszędzie to samo... Tak było zawsze i tak będzie...

Przed samą karczmą Wojdyła się zatrzymał i zaczął złazić z wozu. Konie, rade z chwili

wypoczynku, zwiesiły łby, jak na komendę, robiąc bokami.

— Zimna niema — rzekł mój gospodarz, zacierając ręce, — ale taki człek jakiś...

Domyśliłem się. Dałem mu na »kubek« i cygaro. Przecie mi furmanił.

Zanim zdołałem cofnąć rękę, chwycił ją silnie i pocałował. Uczułem zimne, mokre dotknięcie, dziwnie jednak przykre, prawie palące.

...Obywatel równouprawniony wobec ustaw, posiadający bierne i czynne prawo wyboru, gospodarz gruntowy... — recytował mój złośliwy demon, a ja nie mogłem kazać mu milczeć!... Nie mogłem nawet zejść z tego wozu, na który, nie wiem, po co właściwie wsiadłem.

Wchłonałem chyba tę niemoc, tę martwą apatyę, obejmującą cały widnokrąg, co dzisiaj tak przypominał ogromne, ponure więzienie...

Gdy Wojdyła z cygarem w ustach powrócił z karczmy i wsiadł, stał się bardziej jeszcze rozmownym. Wypił z pewnością więcej, niż jeden kubek. Smagając siarczyście gniadego, począł się wywnętrzać.

— Ej, bieda kole człeka i tylo. Nie tędy to owędy, zawdy go się chyci... Wio,

ścierwo sobacze! wio! Na drugi tydzień pewnikiem pochów mnie czeka...

— Jaki pochów?

— A dy moja już bardzo kiepska...

— Wasza żona?

— A juści. Pali ją na wnątrzu, do jadła nijakiej chciwości, wyschła kieby szczapa. Był ksiądz z Panem Jezusem — uniósł czapki — ale nie poprawiło się.

— Radziliście się doktora?

— Ja się ta nijakich dochtorów nie radzę. Abo mnie to stać na dochtory, japyki? Co Pan Jezus da, to będzie. Widzi mi się, jałowicę śliczności trza będzie sprzedać na ten pochów. Dy ona dziś a jutro...

— A dobra była kobieta?

Wzruszył zamionami.

— Iii — rzekł po chwili — dwa liche stajonka i krowinę wzionem za nią całego majątku. A dzieciska sypały się, jak z worka... Byłoby dziesięcioro tego.. Ostało się czworo drobiazgu... Starsze, coby się do pasania przydały, czy tak kole chałupy, wszystko toto w małejkości poszło na te chrosty... Ot, dopust boski... Rają mi ta baby jedną gdownę... Grunt w jednym kawałku, dobry, pszeniczny, raz ino

w sześć roków się nawozi. Nie wiem, jak ta Pan Jezus miłosierny poszczęści...

Uchylił czapki.

Wkrótce byliśmy na miejscu.

Przed składem węgla, mieszczącym się w dużej drewnianej szopie, przytykającej z jednej strony do toru kolejowego, z drugiej do błotnistej gościńca, stał szereg chłopskich furmanek, który co chwila się posuwał, w miarę, jak wozy, napełnione węglem odjeżdżały.

Stojąc na uboczu, patrzyłem tępo, prawie bezmyślnie przed siebie. Czasem dwoiły mi się w oczach te wozy zbłocone i odarte, te konie, ten skład węgla i opodal chaty niskie, ciągnące się wśród małych sadów bezlistnych, na tle pól poczerniałych, brudnych.

Zbliżyłem się do szeregu wozów.

Wyciągnąłem drżącą rękę i poklepałem po zjeżonym łbie pierwszą z brzegu szkapę, której nie rzucono garści siana i stała zgoniona, spointniała, robiąc silnie bokami. Zbudzona dotknięciem, podniosła łeb chudy, kościsty, z dołami w skroniach, o rozdzierająco smutnym wyrazie. I z pod długich, czarnych rzęs wybiegło ku mnie spojrzenie posępne, zabite. — —

. . .Oto katusze przekazały mi przeszłe pokole-

nia mego gatunku... Oto pracę mi przekazały, pracę do ostatniego tchnienia w piersiach, do ostatniego natężenia mdlejących nóg — i tę postać nędzną, skarłałą, i wieczną niewolę w twardej, raniącej uprzęży, i głód...

Odwróciłem się z sercem ścierpniętem.

Nie zbliżałem się do dalszych zaprzęgów. Bo jakieżbym ujrzał tam oczy? Może ślepe, zasłże bielmem, lub krwawe i wyciekłe...

Nieświadomie prawie odszedłem stamtąd.

Nie patrząc, minąłem gromadkę gospodarzy, rozprawiających żywo na środku drogi.

W ich oczy nie miałem już siły spojrzeć...



W ZIMOWY CZAS

OBRAZEK Z ŻYCIA WSI.

W. SIMON & CO.

NEW YORK

Nierychło zbudził się Antek. Już matusia palili pod blachą, babka grzali się kole ognia, Hanka dawno krowy wydoiła, a on dopiero oczy otworzył. Matusia nawet umyślnie cicho się sprawiali, żeby synowi nie przerywać snu. Abo to się mało biedak naharował przy ojcu bez cały rok? Niech se ta odeśpi teraz za wszystkie czasy, niech się znowu ukrzepi na wiesnę...

Antek zaś przysnął dłużej, bo nad ranem cudny miał sen. Było to w lecie, jakby w niedzielę po południu. Siedzi se na przyzbie przed chałupą, przy nim Kasia, młodziutka śliczności baba, i dwuroczny może chłopak, który despetuje okrutnie, to włącząc tatusiowi na kolana, to rozganiając kury i gołębie, jedzące właśnie posypane przez gospodynię ziarno. Na bożym świecie cichusieńko, jak podczas podniesienia; zachodzące słońko złoci całe obejście, zapala czerwone ognie na puiach śliw i ja-

błonek, a hen w górze, na obłokach ukazuje cuda i dziwy: ni to pałace, ni to kościoły z wysokimi wieżami, a wszystko w ogniach, w płonącej krasie, w bożej świętej jasności... Antkowi strasznie błogo robi się w sobie; to całuje rozbawionego chłopaka, to znów przereknie mało niewiele do Kasi, a gdy na nią poziera, to zdaje mu się, że serce, kieby ten słonecznik za słońcem, zwraca się całe do tej młodziutkiej gosposi w czerwonym, błyszczącym od wyszyć gorsecie, z głową w białej, krochmalnej, haftowanej chustce. I tak mu jest w onej chwili, taki spokój i słodkość w nim samym, i wszędy dookoła, takie widoczne zmiłowanie boskie nad ich głowami, nad tą białą chałupą i małym sadkiem, że cosi go coraz mocniej za gardło ima, i chłop omal płaczem nie ryknie, i krzyżem nie padnie, aby całować tę świętą ziemię żywicielkę i bić się w piersi i dziękować Panu Jezusowi za łaskę i miłosierdzie...

Śliczności sen... Juści sam Pan Jezus mu go zesłał, przykazując ufać, że pewnikiem w te zapusty już dadzą mu Kasię starzy Chlebdowie. Bo, prawdę mówiący, i o cóż im się rozchodzi? O te pół stajonka, którego dodać nie chcą, a przy którym jego tatuś znowu ciągiem

się upierają la okrągłości grontów i bez to, że on, Antek, spłaciwszy siostry, sam kiedyś na całym gospodarstwie ostanie, a Kasia ino półtrzecia stajonka całego wiana mu wniesie.

Radosny, pełen otuchy, wybiegł z chałupy. Hej, mój ty Boże, chocia mrozik nie bylejaki, ale jakże pięknie na tym świecie! Hań, daleko, góry stoją jakby okryte niebieskim płaszczem, a nad niemi srebrne mgły płyną i płyną... Haw dookoła między chałupami, na polach i porębach, wśród osędziałych drzew bieluśienko, a gdzie ino promyk słoneczka padnie, śnieg się iskrzy i złoci i różowieje...

W granatowym spencerku, baraniej czapce i wysokich butach biegł drogą wiejską, płosząc szare, czubate pośmiecuszki i żółte trznadle, a potem puścił się polami na przełaj, zapadając po kolana w śniegu, aby ino co rychlej dostać się w poblize chałupy pod lasem, skąd co rana szła Kasia do wsi, do wspólnej, gromadzkiej studni po wodę. Szło się tamtędy po okrutnych zbyrkach, bardzo «pod brzyżek» i po ślizgawicach, więc odkąd zima nastąła, Antek zawsze rano wybiegał, czekał na Kasię, a gdy nadeszła, sam brał na ramiona nosidła z konewkami, żeby swojej dziewusze, jakosi przecie ulżyć. Juści, nie obeszło

się bez tego, że skoro tylko na Walkową porębę weszli i za gęstą brzezinką się ukryli, tak że ani ode wsi, ani od gromadzkiej studni oko ludzkie ich nie dostrzegło, Antek konewki na ziemię stawiał, a Kasię z całej mocy do siebie garnął i usta wiśniowe przez opamiętania całował, a chwilami to się tak w tem gorącym kochaniu zapamiętywał, aże dziewczynie tchu w piersiach brakowało i słaniając mu się w ramionach, cichutko, pokornie prosiła:

— Jantoś, puść mnie już, puść, mój ty złocieńki, mój serdeczny!...

Wówczas chłopak, choć czerwone ognie zasłaniały mu wzrok, a w skroniach krew huczała jak młyn, opanowywał się, wypuszczał dziewczynę z objęć, brał konewki, leciał do studni, pędząc z góry jak szalony, i migiem z wodą wracał. A taki był urodziwy ze swemi pałającymi oczyma i szczęśliwością na młodej twarzy, że Kasia napatrzeć mu się nie mogła. Chociaż z powrotem nagliła do pospiechu, nie wytrzymała przecie, aby choć ździebko w twarz mu nie pojrzeć.

— Jantoś! — wołała co chwila, idąc za nim.

Na to chłopak przystawał, odwracał się i pytał:

— A co Kasiu?

A ona, płonąć coraz bardziej pod jego spojrzeniem, przysłaniała swe pocziwe, rozkochane modraki czarną rzęsą i niby zadyszana, mówiła:

— Nie leć-że tak duchem z tylim ciężarem, mójesty... Adyc nadążyć ci nie mogę...

Raz, kiedy zwolnił kroku i długą chwilę w milczeniu szli ku domowi, ona, brnąc za nim w śniegu, ozwała się cichusko:

— Bez cośmy też, Jantós, tak się okrutnie w siebie wlubili?

Serdeczne modraki dziewczyny tonęły w jego czarnych, rozbłysłych źrenicach, jak w słońcu, gdy przystanąwszy, mówił:

— Bo ja wiem?... A ktoby ta przeznaczenia swego dochodził... Tak widać było nam sądzone... Wola boska i tylo... A ty mi się dzieucho woli boskiej nie przeciw, ino ojców łagódź, żeby jako z moim tatusiem doszli do ładu i żebyś cię po krześcijańsku pojón, bo nijak mi już wyżyć przez ciebie...

— Adyc chodzę kole nich, a przypodchlebiam się, a matusi na rękę idę, jak ino mogę, aże pośmiewają się, że se Jantka tak wystuguję...

— Niech sie pośmiewają... Abo nie prawda?

— Juści, że prawda...

— I okrutnie chciałyś tego Jantka?

— E, zbereźniku jeden, cobym zaś aże okrutnie miała cię chcieć... Idź-że już naprzód, nie patrz tak... Rety, co za bałamut z tego chłopaka!...

— A to możebyśmy się już i rozeszli na piękne, kiej taki bałamut ze mnie i ladaco. Pójdiesz se za Wicka, a ja Mardylinę pojmem, baba śwarna, nie bardzo leciwa, ino pięćdziesiątkę na karku ma.

— Juści, trza mi się będzie rozejść z tym Jantkiem i za drapiatego *) iść...

— Ano tak, bośwa już i przed waszą chałupą — rzekł wesoło. — A wieczór u Mardyliny na prządkach, pamiętaj...

— Zaśbym nie pamiętała?...

— Ostań z Panem Jezusem!

— Ostań i ty.

Dzisiaj gdy Antek spotkał się z dziewczyną, zaraz z okrutną uciechą zaczął jej opowiadać o śnie; widząc jednak, że Kasia jakaś markotna, przerwał swą mowę.

— A cóż ci to? Nie radujesz się?... Adyc teraz, żeby niewiedzieć co, to już cię pojmem

*) ospowatego.

i będziemy se wspólnie żyć, będzie nam dobrze u ojców, a potem, potem, po latach, całym już na swoim...

— Bo i mnie się coś śniło, ale źle.

— A cóże?

— Toli idę ja ot tak, kieby od studnie pod brzyzek, a haw na górcie Wicek zмага się z tobą. Bijecie się okrutnie, jak te dwa koguty, raz on tobą o ziemię, raz ty nim. Narzecie, jak cię nie obali na znak, jak kolanami nie zaczniesz w piersi tłuc, rety!... Lecę ja pod górę, niby ci na ratunek, a tu nogi, kieby mi w ziemię wrosły... Nijak nie mogę... Zaczęłam płakać, krzyczeć... i obudziłam się..

— E, głupstwo, co mi ta ten drapiaty dyabeł zrobi.. Abo to gospodarski syn, abo co? Ot, na dwóch morgach ostanie i wyrobkami chodził będzie, chyba, żeby się do jakiego gruntu przyżenił.. Jak na to mówiący, nie dadzą cię mnie, to pewnikiem i jemu nie dadzą... Zaś ta masz czem se głowę kłopotać... Mój sen, inksza rzecz... Taki słodzieńki, że było mi, kieby w kościele po komunii świętej jakem przy tem zachodzącym słońku na przyzbie z wami siedział..

— Adyc mówiłeś przódzi, żeś ino ze mną, niby ze swoją babą był, a teraz znowu, że

z wami.. Któż to trzeci był jeszcze? — pytała dziewczyna. — Matusia twoja czy moja?

— Był ktosi jeszcze, ale nie matusia...

— Obcy?

— E, kaj ta obcy... Zgadnij...

— Nijak zgadnąć nie mogę. Nie matusia, nie tatuś, nie ujek.

— Ktosi bliższy jak ujek...

— To już nie zgadnę...

— Ktosi taki, co go dzisiaj niema, ale pewnikiem będzie... Ktosi maluśki...

Dziewczyna zrazu chciała uciec, lecz jej nie puścił, więc pozostała w silnych ramionach chłopaka, tylko zarumienione lica na piersiach mu ukryła.

* * *

U Mardyliny gwarno było i huczno jak w ulu. Wrzeczona fyrczały, kobiety i dziewczuchy, siedzące na ławach wokoło pieca, śliniąc co chwila palce, wyciągały z przędzywa długie nici, a wśród nieustannej pogwarki wydzierał się raz po raz jakiś głośniejszy okrzyk lub śmiech. W dużej izbie, oświetlonej żółtym płomykiem lampki, wiszącej na ścianie, krzyżowały się rozmowy, padały smyślne powie-

dzenia, szemrały szepty, podawane sobie na ucho pod wielkim sekretem, bo też nie same gromadziły się tutaj kobiety. Kilku parobków i gospodarzy, sąsiadów i kumów, że to czasowy o tej porze był każdy, zachodziło na prządki la pogwarki, bo w chałupie cnęło się w długie wieczory.

Sikorzyzna i Podorecka, siedzące na jednej ławie twarzami ku sobie, nie słuchały ani starej Kopciny, co choć dobrze już leniwa ciągiem za «hanglem» chodziła, sprzedając jaja po jarmarkach, ani Dudzika, wywodzącego na całą izbę strasne historye o przyszlých wojnach, o Prusach, Talijanach, Janglikach — lecz nachylone ku sobie, wywnętrzały się z cicha ze swoich utrapień:

— Oj dał mi też Pan Jezus doleczkę dał, moja kumosieczko — mówiła Sikorzyzna — ani ja tera dziecka w co odziać, ani nawet we swoim garnku ugotować... O wszystko ino somsiadów proś, a oczami świeć... Kury się ustały nieść, chociaż pod piecem toto trzymam i co mogę to poddaję, a z tego masła, co go na targ wyniesę to się muszę tak memu wyrachować, kieby nie własna baba, ino ostatnia sługa... Ani nijakiego obleczenia dzieckom kupić nie da, ani garnka, a gajzu to tak żałuje,

że mnie haw na prządki gna, aby się zaś dużo w chałupie nie wyświeciło... Juści, chłop zły nie jest, grajcara nie przepije, tę jedną fajczynę ino wykurzy, jak se poobiaduje, ale do krzty, moiściewy, opętały go te gronta... Nic, ino grontu przykupować... Od łońskiego roku, jak przy parcelacyji te dwa morgi na Stępniówce kupił, tak ciągiem mu za mało wszystkiego... Nieraz, w nocy, upracowana, śpię jak drewno, a on mnie tyrpie:

— Margośka!

— Abo co? — pytam — czego chcesz?

— Nijak usnąć nie mogę.

— Bez co?

— Kalkuluję, czyby jako pieniędzy nie zrobić i od Szymka od Kuczały nie kupić duchem tej słodkiej łąki za potokiem... Straśniby się nam zdała!...

...Tak, moiściewy, do cna go odmieniło od tej parcelacyji. Zawdy na gronta oskome miał, mało mu było tych siedmi morgów, teraz mawa ich dziewięć, i jeszcze mu ich nie dość: łąka mu wlaźła w głowę... Zarobi, dopyczy z kasy, a kupi, znam ja go... Dziecka przez nijakiej przyodziewy latoś i na bezrok ostaną, w chałupie nie będzie ni skorupy, ni konewki,

od gęby nam i sobie odejmie, a łąkę od Szymka kupi...

— Juści źle, jak chłop sknera i cosi go opęta — odparła Podorecka — ale ja, na to mówiący, tobym se nie krzywdowała. Adyc i mój nieboszczyk taki był zapobiegliwy i robotny i grosza z garści nie popuścił. Zarobek był, i chocia grontu nie wiele, dobrze się nam działało. A teraz? Dy już do cna skapałam przez gospodarza w chałupie... Jużem ino na tę zimę z jedną jałówką ostała, przez nijakiej okrasyła dziecek, przez nawozu na wiesnę... Trafiało mi się dwóch, Madej i Kliniec, ale obaj pijanice i wałkonie, niech ręka boska broni. Kaźdenby ino w karczmisku gorzałę chlał, w chałupie maścił se dokumentnie, a ty babo o wszelakiej polnej robocie, o zasiewie, o żniwach, o kopaniu myśl, chłopu warzę gospodarską stawiaj i z tych jajek abo i masła wszystko opędzaj... Hanka Smoleńka chciała duchem chłopą, ułakomiła się na Klińca, — a dzisia przeklina tę godzinę, wkiedy na niego poźrała...

— Zaśby nie przeklinała?... Mało to ją zawdy nabije, skopie?...

— Na mnie bo ta mój nieboszczyk nigdy ręki nie podniósł... dobry, uczciwy chłop...

Ale że to zawdy człeczna dusza grzeszna, to jak pomar, ciągiem mi się obśniewał taki biednieńki, obdarty, bladziuski... Dawałam też, nie wymawiając, na msze bez caluski rok. Com za jajka wziena, wszystkim dawała, aże ustał mi się śnić — a jegomość na spowiedzi mi wyłożyli, że to pewnikiem te moje ochfiary wybawiły go z czyścca...

Na to Suder, wysoki, chudy chłop w koczuchu, wyłożonym na plecy, który siedział opodal i posłyszał ostatnie słowa Podoreckiej, odezwał się stanąwszy przy kobietach:

— Mnie bo ta, kumosiu, ani moja nieboszczka, ani pan ociec, ani nikt, ino nasze pola, łąki, chojaki ciągiem się obśniewały, jakem jeszcze we wojsku w dalekich światach był. Hej, dawne to lata, musi ze czterdzieści... Byłem, moiściewy, w Wiedniu, miasto ogromne, widział człek różne różności, nieraz w niedzielę na Praterze był, gdzie takie smysłne kumedyje pokazują, aże oczom swoim człek nie wierzył — a jak, bywało, w kasarni na swoim strozaku legnę, jak usnę, to zaraziczek jestem haw, we wsi... To oziminę tatusiową pod męką Pańską oglądam, to jadę po drwa do lasa, to raz znów śnije mi się noc, miesiącek świeci, a ja nad naszemi polami lecę

kieby na skrzydłach... Podemną żyto się kłosi, na przykopach macierzanka pachnie — a ja lecę i lecę... A tak, moiściewy, miłuję tę naszą ziemię, te role i łąki, aże w sercu jakisi gorąc mi się rozlewa i cosi za grzdykę chyta... Lecę dalej, skręcam nade drogą za karczmę, za Bugajowe obejście, za Tyrka, za Kozłowy ugór i już dolatuję do naszej chałupy — a tu jak mnie cosi podrzuci, tak budzę się w ten moment... Pewnikiem, moiściewy, tak to ono jest, że dusza we śnie z człeka wychodzi i z wielkiej tęskności błąka się po swojej ziemi...

— O, ziemia strasznie ciągnie — ozwał się na to Żurek, także leciwy już gospodarz. — Abo to Gawlasa nie ziemia aże z Hameryki przyciągła? Adyc nijakiej biedy tam nie miał, pięć roków siedział i ładny grosz zrobił. Widziałoby się, ojcowiznę przeda, w Hameryce ostanie, kiej pieniądz ma i bieda nic mu nie robi — a przecie pod jesień wrócił, czterysta srybła przywiózł, grontu dokupił i peda, że do śmierci już nikaj się nie ruszy. .

— Wicek, bym ci zaś czego w łeb nie ci-sła, jak kiejsi! — krzyknęła nagle Jagusia, przędząca obok Kasi Chlebdzianki. «Drapiaty» bowiem raz po raz to cliwił ją pod pachami, to szczypał kole bioder, to nici rwał.

— Dy cóż ciśniesz? Kądziel? Ciskaj, chyćę, a potem dalej zapaskę, kieckę i ciągiem jedno po drugim!... Będzie na ostatku co użreć...

— Cichoj Wicek, nie pleć byle czego, dzieuchom daj pokój! — zawołała na to Mardylina, która nie lubiła u siebie zbyt swawolnych żartów.

— Cie go! kawalir! do zalicanio — mruknęła obrażona Jagusia.

— Abom to nie kawalir? Nie wolno mi?

— To się zalicaj, kaj cię chcą!

— Juści, że będę, kiejs taka harna! Wolę moją Kasię!...

— Idź se do twojej! Taka ja twoja, jak ty mój!... — odcięła się dziewczyna.

Wtem drzwi się otwarły i wszedł Antek.

Kasi serce uderzyło żywo, bo z upragnieniem na chłopaka czekała.

— Pochwalony! rzekł od progu.

— Na wieki! — odpowiedzieli gospodarze i kobiety.

— A, nosiwoda! jak się masz! zawołał Wicek, stojąc za dziewczynami.

Antek, jakby źle usłyszał urągliwe słowo, odkrzyknął:

— Coś rzeknął? — i odrazu nastąpił na Wicka tak, że ten plecami o ścianę się oparł.

— Powtórz!

Kasia, obok której powstała sprzeczka, struchlała. Przeszło jej przez myśl, że gotów jej się sprawdzić dzisiejszy zły sen. Mardylina zaczęła swarzyć na Wicka, żeby nijakich rebelij w jej chałupie nie poczynął i uczciwych gospodarskich synów nie napastował, bo go raz na zawsze stąd wyżenie... Oni zaś, jakby nie słysząc, co się dokoła nich dzieje, stali chwilę wyzywająco naprzeciw siebie z zaciśniętymi pięściami i jarzącymi oczyma. Wreszcie, wśród chwilowej ciszy, Wicek, chociaż przyparty do muru, że to już z rodu nieustępliwy był, wyrzucił z siebie z jadowitym sykiem:

— Nosiwoda, wiadomo!...

A Antek na to jak nie huknie na cały głos, aże naczynie zadźwięczało na półce:

— Wolę ja swojej dzieusze wody przynieść, jak żeby jaka zagraniczna*) za mną cosi wrzeszczące nosiła!... Chciałeś — masz!...

Kasia wypuściła wrzeciono z ręki, a serce rozklekotało jej się w piersi z wielką trwogą. Byłaby się może i rzuciła między nich, gdyby po słowach Antka w ten moment nie runęli na siebie, dysząc zajadłością, co uwięziona w na-

*) zagraniczna = z innej wsi.

prężonych ramionach, jak zły pies na łańcuchu, czekała ino okazji. Wicek odrazu z całej mocy pchnął Antka w piersi, który też od onego pchnięcia aż cofnął się w tył. Lecz się nie uląkł. Pochylił tylko głowę, odsadził się na dobry gospodarski krok i jak ten byk rozjuszony zwalił się na Wicka. W pierwszej chwili od nagłych razów rozwścieczonych pięści aż zadudniło w izbie, poczem zczepili się wzajem i zaczęli miotać sobą tak zapamiętale, że żaden z chłopów ani pomyślał przystąpić do walczących i rozdzielić ich. Przypatrywali się jeno zapasom z wielkiem zajęciem, czekając końca. Antek, wyższy od przeciwnika, zmógł go wreszcie o tyle, że począł ciągnąć ku drzwiom, krocząc szeroko środkiem izby. Nie szło mu to łatwo, widać było, że dobywał ostatnich sił, bo Wicek, choć niższy, ale sprężysty, wściekle zapierał się nogami o co ino mógł i pyskiem też raz po raz do ręki Antkowej się wpijał, a charczał i stękał w jego żelaznym uścisku, jak to dorzynane bydlę. Nakoniec Antek rymnął nim we drzwi, aż się wapno z futryny posypało.

— Dobrze, Jantek, dobrze! — wołali gospodarze — a teraz do pola ś-nim!

Jakoż Antek do pola przeciwnika włókł. —

W sieni barował się z nim przez jaki dobry pacierz, poczem przez otwarte drzwi można było widzieć z izby, jak rozmachnąwszy się gdyby przy koście, oddał go od siebie i wy-cisnął na śnieg, duchem zapierając drzwi, bo tamten już się podnosił. Wrócił potem do izby, zeznojony, jak po długiej młocce i nieco zdyszanyym głosem rzekł do Mardyliny:

— Nie bądźcie mi ta krzywi, gosposiu, ale inaczej nijakby mu nie uradził. Tera on już nie będzie wam haw cięgiem łaził i na honór ludziom następował... Toli przez czapki wyleciał, a nie woła o nią i tak do dom abo i do Joska pójdzie, bestyja drapiata!...

— Juści, że bestyja, nie co inksze! — odparła wdowa. — Nikomu spokoju nie da, a gębę ma jucha złą, jak pies...

— I zęby i pazury niezgorsze! Jak mi to rękę przyprawił! Dajcie ta, moiściewy, kapkę wody, niech se umyję..

Kasia, choć okrutnie zawstydzona wobec tyłu gospodyń i gospodarzy, widząc zbroczoną rękę swego Jantka, w ten moment się zerwała:

— Nie przerywajcie se gosposiu przędzenia, ja mu sama dam, wiem, kaj co u was..

— Ano to mu usług...

— Widzisz, nie wyśniło ci się — szepnął chłopak z uśmiechem, gdy mu Kasia rękę owijała — ale mnie się za to wyśni...

— Bardzo cię boli?

— Zaśby ta bolało! Swędzi, kieby komar ucion...

— Ale zębce wbił ci na palec, ażę do kości... rety!... Tera jeszcze bez złość zaczął się kaj na ciebie i kamieniem w łeb zdzieli. O Jezu, Jezu!... Czemużęś mu tę dzieuchę wypomniał?...

— A to niech się ścierwo do nikogo nie wraża! Nie będę ja na jego kamień czekał, ino kaj go pierwszy dopadnę, to mu takie zrychtuję poprawiny, że popamięta!...

Gdy tak młodzi szeptali, Kopcina głośno poczęła wywodzić, jako to i ojciec Wicka i stryk i wszyscy z famieliji takiej byli już natury. Same zabijaki, pijanice i rozpustniki. Przecie starszy brat Wicków za bitki to już cosi z piętnaście razy w hareście siedział. Kobiety jej ochotnie wtórowały, biorąc z kolei na języki Wickową matkę, pogwarka rosła, wrzecziona fyrczały, gdy wtem pod samem niemal oknem rozległ się przeraźliwy okrzyk:

— Hu! ha!

— Oho, Kliniec wraca od Joska — rzekła

któraś z gospodyń. — Już se dogodził za te parę szóstek, co w mieście od śniega zarobił. Będzie znów swojej gnaty rachował, jak się kaj z chałupy nie wysmyknie...

A na drodze Kliniec, w niebieskim wojskowym kabacie i czapie na bakier, wedle swego zwyczaju, płączącemi się nogami przytupywał jak w tańcu i wymachując rękami, śpiewał:

Chociażem ci chudziak,
Z końca bicza żyję,
Przecie sobie codzień
Gorzałeczkę piję! Oj, dana!

Dudzik, który rozpoczętą do wszystkich rzecz o wojnach, przed samym już Sudrem skończył stanowczą klęską Prusa i Talijana, rzekł na całą izbę:

— Jaki to wam, moi ludzie, twardy bisurman, choć i ten Kliniec! Dy sam widziałem, będzie temu może sześć niedziel i śniega jeszcze nie było, jak na gościeńcu zleciał z wozu prosto łbem na dół, kieby to cielę spętane. Wylało się krwie z niego, nikiej z konwie i zaraz se myślałem: tera to już pewnikiem dojdzie do znaku... Na drugi dzień zachodzę ja do Joska po tabak, a tu mój Kliniec zdrowusieńki stoi przed szynkwasem, przyniósł dwa garnce owsa i targuje się z żydem, ile

mu gorzały ma za to postawić... No, moiściewy!...

Wśród tego Mardylina, pokazując oczyma na Podorecką, szeptała do kумы Jaroszki:

— Straśnien, mówię wam, niedobra na tę Podorecką. Jakem jeszcze przed Różańcową pożyczyla jej siedm szóstek, takem grajcara do dziś nie uzrała. Cięgiem się sprasza, że nie ma i jeszcze to o kapkę soli, to o siarniki do chałupy mi się zapędza, abo i swoją Ulinę śle. Labiedzi, że do krzty skapała, a jakże, moiściewy, nie skapać, kiej baba próżniak i Ulina nie lepsza, i Wawrzon, i wszystkie dziecka tak się na nią podały. W południe byłam u profesurki, to się pytała, czybym jej mojej Rózki do obsługi nie dała, bo z Uliną końca dojść nie może. Sama musi latać do nich i o wodę abo i o co inksze się dopraszać, kieby o łaskę. Bo u nich, jak co trza zrobić, to ino jedno na drugie spycha, a żadne się nie pokwapi... «Idź-że psie, idź-że ogonie: pies leży, ogon nie bieży»... Tak zawdy u Podoreckiej; to też nie dziwota, że taką dolę Pan Jezus jej daje...

A z drogi dochodziło coraz bardziej oddalające się już śpiewanie:

Dziewczyno, kochanko,
Pójdź ze mną na sianko,
Kopica się wali,
Pójdźwa, dziewczę, dalej!... Oj dana!

— Takiemu to nic rady nie da — ozwała się Kopcina.

— Ino śmierć sama — rzekł Suder.

— Żeby to ją, ścierwo, uźrał jak ja, na własne oczy, toby mu się może i pijatyki odniechciało — zabrał głos Dudzik, wytrząsając popiół z fajki. — Raz, późno w noc — a żeniatym jeszcze nie był i na ojcowym siedziąłem — jadę ja do dom z roboty od stryjny co to wiecie, w Kosowach wielgie gospodarstwo mieli. Droga mi była kole smętarza, ale że miesiącek świecił pięknie, zdjonem kapełusz, zmówiłem wieczny odpoczynek i jadę se dalej, wcale nie bojący. Wtem, patrzą, a ode smętarza idzie cosi ogromne, ni to osoba jaka, ni to słup wysoki, prosto na mnie. Konie w te razy szarpnęły się z całej mocy i skoczyły w bok, prosto w księżę żyto. Ledwo, żem jakosi z tego żyta wyjechał, i gdym dopiero na pagórku przed Maćkiem przed Wątozem stanął, obezrałem się i widzę, jak toto idzie na wieś długachne, jasne od miesiąca i na Kotarbowej chałupie pomaluśku się kładzie, kieby

ten drąg mytniczy... Mówię wam, tak mi straszno było, jak toto ligało na onej strzesze, że mi włosy na łbie stanęły... Zajeżdżam do domu, pedam o tem matusi, a oni mi na to, że to pewnikiem śmierć. I musi śmierć była, skoro tej nocy Kotarba pomar.

-- Juści, że okropna taką śmierć widzieć — rzekł Suder — ale Kliniec pono dyabła raz widział. Może łągał, ale raz mi powieda, że jak do chałupy od Joska szedł, a sielnie cięty był, za pastwiskiem, z Błażkowej przykopy podnosi się cosi czarnego, ni to pan, ni to żyd, następuje prosto na niego, a w garściach cosi trzyma. Kliniec pogląda, kto to może być, a ten w oczymgnieniu stanął już przed nim, wraza mu obu rękami błocisko do gęby i peda:

— «Jedzcie kumie zdrów, kiej was na wnętrzu mgli»...

Kliniec się sprasza, a ten nic, ino ciągiem wali mu bez moc błoto do pyska. Złość na ostatek chłopca porwała, wziął się z czarnym za bary, ale wśród tej bitki tak go jakosi zamroczyło, że dopiero rano w przykopie się obudził i utaplany w błocie, przemarznięty do cna, do chałupy polazł.

— Mądry dyabeł, wiedział komu na despet zrobić — ozwała się Mardylna.

— A ino, sprawił się galanto.

— Dyabła, ino maluśkiego, w czerwonej czapeczce, tom i ja widziała — rzekła Sikorzyna. — Było to łośńskiego roku we wiliją. Jakosim se zaspiała, więcem pacierza nie mówiący, wyszła do sieni i leżę na strych po potraw la krów. Pozieram w górę, a tu na drabinie siedzi se jakiś chłopaczek w czerwonej czapeczce, gęba kieby kogucia, ślipia czarne jak tarki, pysk rozdziawił, wyszczerzył białe kielce i śmieje się. Jak nie krzyknę: Jezus, Maryjo! — tak w ten moment kajś się podział, alem mego potem prosiła, żeby sam potraw zniósł, bom się strąśnie bojała.

— Taki w czerwonej czapce to najbardziej się lubi ludziom pokazować — zabrała głos Kopcina. — Moc różnych gadek o takim jużem słyszała, a nieboszczka moja ujna to mi kiela razy, jakem jeszcze dzieuchą była, powiedała, jaki to miała ś-nim przypadek. Dawne to czasy; kaj tera poręby, abo i role, wszędy okrutne bory u nas były. Wracała ona z boru ze grzybów, ale nie kurentna, bo ino pośle-dniaków moc nazbierała, nijakich prawdziwych, a ino za prawdziwe jaki taki grosz można było w mieście dostać. Nagle użrała dwa prawdziwe i okrutnie wielgie. Ucieszyła się, pod-

cienia jednego i wziena do płachty. Do drugiego ,że to w gęstwinie był, jakosi nie mogła się dostać. Idzie dalej kawałek, ale cosi jej strasznie na plecach cięży. »Bez co mi też tak ciężko?« — medytuje i ledwo, że wydoli taki ciężar udźwignąć. Wtem, jak ino z boru wyszła, słyszy jak cosi za nią woła:

— Kajżeś to bracie?

A za plecyma obzywa jej się juści nie co inksze, ino ten wielgi grzyb:

— Starej babie na plecach siedzę!

Ujna się złąkli, upuścili płachtę z grzybami na ziemię i patrzą, a tu w oczymgnieniu z płachty wyskoczył taki dyabełek w czerwonej czapeczce, drugi w te pędy przyleciał do niego z boru, wzieni się wpół, zaczeni hulać i cosi do śmiechu podśpiewywać.

— A to smyślne bestyje, choć i takie dyabły!

— Na śpasach się znają, aże hej!

— Jakżeby też! Abo to mają co do roboty! W piekle to ta pewnikiem jakiesi inksze najgorszych grzeszników przypiekają, a takie małe, w czerwonych czapkach to ino la śpasów, przykpinek i niewielgiego postrachu po ziemi się włóczą — posypały się uwagi z kilku ust.

— Mądry był ten co Klińcowi błocisko do gęby pchał — zaśmiała się Podorecka.

— Szkoda, że ino samo błoto — dodała Mardylina — jabym mu co gorsze wepchała, niechby żarł...

Żurek, który długo w milczeniu ciągnął z fajki małe niebieskie dymki, odjął ją od ust, splunął przez zęby, odchylił kożuch z piersi, bo w izbie już dobrze było parno, i zaczął:

— O takim małym dyable, to i ja wiedziałbym, co rzeknąć. Dy i mnie raz jucha zaczepiał, kiedyś jeszcze tatusiowe konie pasał. Jakosi to było z wiesną, noc ciepłuśka, na świecie wszystko aże pachnie, konie na moc spętane, tom se ta na górnicy legnął i sen mnie zmorzył. Śpię ja mało niewiele, a tu cosi rucha się podemną. Nie chciało mi się wstać, bom upracowany ze dnia był, ale jak mi się to ciągiem rucha i rucha — tak mnie na ostatek taka złość wziena, że jak się nie zerwę, jak nie zaklnę:

— A psia krew! Cóżeś za cholera, co mnie od spodku żgasz i żgasz!...

A tu w ten moment, moiściewy, wyskakuje mi z pod górnice mały chłopak w czerwonej czapeczce, kusym spencerku i o parę kroków zaczyna se tańczyć i przyspiewywać. — Alem

ino, patrzący na te śpasy, raz się przeżegnał, a mój dyabełek, kieby w ziemię wpadł...

— Pewnikiem, że taki to uczciwemu katolikowi nic złego nie zrobi — zauważyła Jaroszka.

— Gorszy strach zbiera, jak kiej w nocy przytrefi się człękowi pokutującą duszę zdybać — rzekła Mardylina.

— Oh, moja kumo — westchnęła Sikorzyna — prawdę mówicie, miała i moja nieboszczka babka taki przypadek...

I poczęła opowiadać smutną historię o duszy jednej bogaczki, gospodyni na ośmnastu morgach, co za życia biednemu skibki chleba nie użyczyła, a po śmierci to nocami po przykopach, w gęstych cierniakach, abo i pod mostkiem kiej ostatnia żebraczka przechodzących o jaką okruszkę chleba prosiła, a jęczała i szlochała, aże się serce darło...

Wśród tego raz wraz milkło to jedno, to drugie wrzeciono, krążle z przedziwem ustawały się obracać, — gospodynie zamyślane wzdychały, a niejedna w onej chwili przyrzekała sobie la biedaków już miętsze mieć serce, aby kiejś taką pokutującą duszą nie być... Na świecie wiatr powiał, cosi zajęczało w kominie i źdźbła słomy, którą chata była

zacziszona, poczęły się ruszać za małemi szybkami, jak żywe... To dzwoniły do okien, to zazierały do izby, chwiejąc się w tę i ową stronę, kieby się okrutnie dziwujący... Chłopi, w kozuchach abo i górnicach, poprzysiadali to na skrzyni, to na stołkach, że to sprzętu takiego u Mardyliny moc była, poniektóry ścianę podpierał, z krótkiego cybuszka niebieskie dymy puszczając, a Antek stanąwszy koło drzwi, naprzeciw siebie Kasię miał i choć z początku uważnie smutnej historii słuchał, lecz zwolna, gdy druga kobieta także podobną zaczęła, coraz mniej wszystko rozumiał, ino oczy z poczciwością wielką i kochaniem w swojej dziewczynie zatopił. Taka-ci była śliczna przy tej kądzieli, w świetle lampki, co z boku na jej głowę i świeże jagody padało, aże chłopakowi w piersiach jakisi gorąc okrutny wrzeć poczynał i buchał do głowy, kiej ten trunek aby i najmocniejszy.. I w oczach aże mu się mgliło, gdy tak patrzył na jej jasne włosy, co się z pod niebieskiej chusteczki wymykały, na lica rumiane, na różowy gorsecik, przylegający jak ulał do krągłuśkich, kiej jabłuszka, piersi...

Chwilami dziewczyna wznosiła na niego pełne słodkości i przymilenia oczy, które wyraźnie mówiły:

— Mójś ty Jantoś, mój najmilejszy!..

A jego spojrzenie odpowiadało:

— Hej, żeby nie było haw tyła narodu, nie stałbym ja ci tak zdala, inobym bliżiusko se siednął i po tej śliczniuskiej gębusi, po tych pocziwych ślepiach całował aż do zamroczenia, do półśmierci... hej!..

Ale znów poważny nastrój, jaki w izbie pannaował, czyścowa historia, opowiadana właśnie przez Jaroszkę, rzędy obrazów świętych, patrzących ze ścian czarnemi oczyma na te kmiecie długowłose głowy, na pracowite ręce kobiet, ciągnące białe nici z coraz mniejszych zwitków przedziwa, odpędzały z rozpalonej głowy chłopaka takie myśli, a wówczas Antek ślub uroczysty w duszy czynił, jako zawdy uczciwym chłopem la niej będzie, za innemi, choćby i najśwarniejsze i najzaczepliwsze były, nigdy nie pogładnie, a ręka to niechby mu uschła i zczerniała, kieby ten badył ziemniaczany, jeśli by tę swoją babę nią ukrzywdził!..

A Kasia podniosła znowu czarne rzęsy i długo swemi modrakami nań pozierała, jakby mówiąc:

— Twojam, chłopaku mój, zawdym twoja, na wieczną dolę i niedolę... A nie ino bez to, że jak cię użrę, serce w ten moment do krzty

mi ustaje, i kieby na zemglenie idzie, a na gębie to ciągiem twoje całowanie czuję; i nie bez to, że gospodarski syn, mnie chudobniejszą brać chcesz — ale żeś taki sokół, taki chwat... Bo któryż to wsiowy abo i zagraniczny parobek tera mego Jantka zmoże?... Wicka wyciepnał na śnieg, kiej ten snop wymłócony, krew mu z ręki ciecze, a ten-ci się śmieje i peda: Nie wyśnił ci się sen...

Antkowe zaś oczy odpowiadały:

— Widzę ja, dzieucho moja złociuśka, że mnie strasznie miłujesz, a taka poczciwość bez twe siwe ślepie patrzy, że i janielska większa pewnikiem nie jest...

.....

Tak to rozmawiały z sobą oczy i serca tych dwojga, gdy starsi pogwarkowali dalej o różnych dziwach zaświatowych, na onych prządkach w spokojny, zimowy czas.



HANUSINĀ WIGILIA

Na boisku, w przytykającej do chałupy stodołce o jednym zastroniu, Kuba Buczak rznął na skrzynce sieczkę dla krowy, żeby przez całe godnie święta miała do doju jak się patrzy. Chłop rad był z siebie; przyniósł wczoraj babie zarobionych na młocce we dworze ośmnaście szóstek, a że cosi tam grosza było jeszcze w chałupie, więc kobiecina opędziła z tego wszystkie świąteczne wydatki, nowego zarobku nie ruszając. Robotą szła mu raźnie: migiem ściał trzy snopki owsa i sięgał na zastronie po czwarty, gdy wrota się rozwarły i wsunął się mały, bosy chłopak.

— Tatusiu!

— Abo co?

— Nic...

— Pocóżeś przyszedł?

— Tak se ino zażryć...

— Pewnikiem wedle sadku, hę?

— A juści...

— Ja tam przyjdę do izby, jak narżnę sieczki — wynoś się.

— Kiej mi haw dobrze.

— A to se stój, kiej ci dobrze.

Chwilę ojciec pracował spokojnie, chłopiec stał, przebierając czerwonymi nogami wreszcie, nie mogąc wytrzymać, znowu się odezwał:

— Tatusiu!

— Abo co?

— Nie zimno to wam tak ciągiem rżnąć rżnąć?

— Nie zimno, kiej się rucham, a ty się wynoś!

— Mieliście ten sadek ubierać... tatusiu! — zaczął płaczliwie, chcąc ująć ojca za rękę.

— Nie podchodź, Franek, bo ci kosa nogę utnie! A to utrapienie z temi dzieciskami!

Odjął rękę od kosy, aby chłopca odsunąć, lecz mały Franek uczeplił się jej i prosił dalej:

— Chodźcie już tatusiu, mój złociuśki, chodźcie do tego sadku...

— Dyc ci sadek nie ucieknie, jeszcze do wiliji daleko, ubierzemy go na czas.

— Chodźcie tatusiu, moiściewy, toli tak was proszę...

— A niech ta już będzie na twojem, utra pieńcze, ale se pamiętaj, że ino dzisia przy tej świętej wiliji tak ci się udało...

Zamknął wrota od stodółki, puściwszy chłopca przodem i weszli do izby.

Pod blachą huczał wesoły ogień. Gospościa nastawiła już kapustę i groch i brała się do robienia klusek, najmłodszy Jaś spał w kolebce, a trzechletnia Kasia, siedząc na ziemi, gospodarowała w ducce z ziemniakami. U pułapu wisiała choinka.

— Wiesz Magda, jak ci mnie Franek wzion ciągnąć z boiska, a zachodzić na mnie, a przygadywać, tak mnie i wyciągnął — rzekł Kuba do żony.

Młoda kobieta, boso, w krótkiej, czerwonej spódnicy i zakasanyimi rękawami, spojrzała na dziecko z błyskiem macierzyńskiej miłości i odparła, pogładziwszy je po głowie:

— Taki to już rak przyścipny, że nijakiej rady z nim niema... Adyc i ze mną tak wydziwia bez cały dzień..

Obwieszanie choinki jabłkami i orzechami, w czem pomagali ojcu z wielkim zapalem Franuś i Kasia, uwagę dzieci tak pochłonęło, że nie spostrzegły, gdy stanęła obok nich ośmioletnia Hanusia, chowająca się w sąsiedniej chałupie.

Hanusia była to taka «przez ojca». Dopóki matka, służąca w miescie, płaciła za nią, Ha-

nusia miała u Grochalów jako tako; ale od pół roku, gdy słych o matce zaginał, ile razy Grochal się upił, prał swoją babę bez miłosierdzia, że taki «głupi jenteres» zrobiła: dziewczę żywią, ubierają, a grosza za to nie widzą. Niecierpliwa i obarczona czworgiem dzieci kobieta, z których najstarsza dziewczyna była w wieku Hanusi, nie żałowała też na nią ręki, chociaż dziecko było ciche, potulne i do wszelkiej roboty chętne. Z najbliższej przyczyny wypędzono ją z domu. Zbita, uciekała zwykle do Buczaków, którzy ją zawsze nakarmili i przechowali, dopóki największa furja opiekunów nie minęła.

Buczak, spostrzegłszy dziewczę, zagadnął:

— Cóż, Hanuś, wygnali cię znowu?

— Nie, inom sama uciekła bez to, że gospodarz cisnęli we mnie butem i możeby zdzielili bez łeb, bo od samiuśkiego rana byli źli. Siedziałam ciągiem za chlewkiem, alem strasznie zmarzła...

— Głupia, nie mogłaś to w te pędy przyłeciec haw do chałupy? Dyś zesietniała jak nieboskie stworzenie.

— Śniadałaś? — zapytała Buczakowa.

— Kajem ta śniadała...

— Toli se przejedz, naści, a maczaj se chleb w oleju. Siednij haw wele pieca, to odtajesz...

Hanusia chwyciła ją za rękę, ucałowała, potem pobiegła do Kuby, czyniąc to samo.

— Widzisz Hanuś — rzekł Kuba — te trzy czerwone jabłuszka na samym spodku to la ciebie. Uwazuj se dobrze, żeby ci ten huncwot Franek nie oberwał.

Czarne, wypłakane oczy sieroty zaśmiały się do tego podarunku, lecz naraz spochmurniały, bo właśnie z hałasem wpadła Grochalowa.

— Pochwalony!

— Pochwalony!

— Znowuś haw Hanka? Leć duchem do dom, ułap gospodarza pod nogi i przeproś...

— Dy za co? — i dziewczę rozplakało się w głos. — Ja się boję... ja ostanę...

— Cie ją! Ostanie! To się ostań, aż cię gospodarze wyrzuca! Kiej ci mówię idź, to idź! A to skaranie boskie z tą dzieuchą! Żeby ja bez nią tyle miała piekła w chałupie, tyle poniewierki, tyle obrazy boskiej!... Jeszcześ, haw, sakramencka duszo? Nie ruchasz się?

— Dajcie spokój — rzekł Buczak — nie niewolcie dziecka. Ostawcie ją, kiej się boi.

— Mądrzyście i wy! Ostawić! a juści! Wam zabawę dziecko, a do jadła to do mnie przyj-

dzie! Od niedzieli, jakem ino dokumentnie się dowiedziała, że ta psia wiara we żniwa tak mnie galanto wyrzutowała, że umarła w śpitalu, a dzieuchę ostawiła mi na karku, mój cięgiem pije i pije, o nijakim zarobku nie myśli, i mnie, kieby psa ostatniego, poniewiera! A wszystko bez nią! Dobrze wam jej folgować, kiej nie o waszą skórę idzie!

— E, nie pletlibyście — obruszyła się Buczakowa — dy wasz zawdy pił, zna go cała wieś, a tego jadła to tak nie wypominajcie, bo jak dzieucha ma co pojeść, to pewnikiem nie u was! Niema dnia, żeby toto głodne haw nie przyleciało i nie oblizło czego...

— Jakosi nie upasła się z tego waszego jadła!

— Żeby ino poniewierki u was nie miała, toby się może i upasła, bo dziękować Panu Jezusowi la sieroty ociupina chleba zawdy u nas się znajdzie!

— Cie! cie! A może i na przednówku tego chleba tak strasznie dużo? Nie widzieli! Co za bogactwa! Grontu dwa stajonka i krowina, pozał się Boże!...

Chłopu już było tego za wiele. Odłożył choinkę na bok, grzmotnął pięścią w stół i zakrzyknął:

— A do moich stajonek i krowiny wam zasie! Żeby dzieucha miała u was jak się patrzy, toby nie uciekała! A jakby przyszło co do czego, to haw lepszy przytułek najdzie przy tych dwóch stajonkach i przy tej krowinie, jak przy waszych czterech morgach! U mnie dzisiaj święta wilija; chcecie się swarzyć bez cały rok, to se piekło róbcie u siebie, a stąd się wynoście, pókim dobry!

* * *

Był zmierzch. Kuba zaśwycił w izbie lampkę i wyszedł przed chałupę spojrzeć, czy nie zeszła już gwiazdka, która miała dać hasło do rozpoczęcia wieczerzy.

Magda w czerwonym gorsecie i koszuli z wyszyciem siedziała na ławie, dając piersi Jasiowi. Stół był zasłany czystą płachtą, pod którą podłożono słomy i siana, w kątach izby stały snopy zboża, choinka z jabłkami i orzechami, przybrana łańcuchem z kolorowego papieru, wisiała u pułapu. Nad stołem kręcił się «świat» — przedmiot wielkiego podziwu Hanusi, Franusia i Kasi.

Dzieciak na rękach matki żywe niezadowolenie okazywał z pokarmu: złościł się, popła-

kiwał, kopał nóżkami. I nie dziw. Magda sama była setnie głodna, aż ją chwilami mroczyło. Pościli bo też oboje od rana jak Pan Bóg przykazał. Ale lada chwila zasięda, połamią się opłatkami i pojedzą se za wszystkie czasy. Był przecie groch z kapustą, dwa śledzie, kluški z makiem, placek z olejem i suszone śliwki. Dziękować Panu Jezusowi wilija nie bylejaka!

— Ano stawiaj babo co Bóg dał, już nade dworem zesła gwiazdeczka! — rzekł Kuba wesoło, wchodząc do izby.

— Tatusiu! — zawołał Franuś, czepiając się ojca — ja se kole was siędę.

— A siednij kaj chcesz, niech ta już bez cały dzień będzie na twojem! A ty Hanuś, kole Franka, hę? Cóżes się tak zasumowała? Rozochoc się dzieucho, nie wzdychaj! Już do tamtych nie wrócisz! U nas ci zawdy było raźniej, to i będzie! Adyc tyś już kieby nasza!

— O mój gosdodarzu! — chciała sierota dziękować, chwytając go za rękę.

Lecz Kuba się zachnął:

— Niema haw nijakiego gospodarza i gospodyni, ino jest ociec i matka! To se zapamiętaj przy dzisiejszej świętej wiliji!...



POWRACAJĄCA FALA...

— Jesteś pani cudownie piękna!... Patrząc na ciebie, zdaje mi się, że śnię... Oczarowałaś mnie od pierwszego spojrzenia...

Pani Aurelia była w tej chwili istotnie czarująca. W jasnej, lekkiej sukni, skromnie wyciętej pod szyją, z swym bujnym, rozkosznie falującym biustem i lekko spadzistemi ramionami greckiej bogini, siedziała, słuchając słów pięknego bruneta, niema, jakby załęczniona, upojona i upajająca. Oczy jej, koloru morza, o rozszerzonych, czarnych źrenicach, pociemniały z rozmarzenia, nabierając gorących połysków. Na białej, pociągłej twarzyczce, około ust różanych, igrał jakby odblask uśmiechu szczęścia.

Młoda, wysmukła blondynka i jej towarzyszy, rozbawieni i przekomarzający się dotąd tuż przy nich, wstali właśnie i oddalili się na drugi koniec salonu, gdzie przystanęli, pochłonięci żywą rozmową. W przyległym pokoju,

wprost otwartych drzwi, grało czterech mężczyzn w karty. Chwiejące się płomienie świec w dwu kandelabrach, stojących na stoliku, rzucały ruchome blaski na dobrą i szlachetną twarz jej męża. Na ten widok pani Aurelia uczuwała, że budzi się w jej głowie jakaś myśl ważna i pilna — myśl, nad którą powinna koniecznie się zastanowić: — ale nie mogła uświadomić sobie, co to była za myśl. Miała tylko odbrzask bolesnego poczucia, że ją ciągną dwie moce w dwie przeciwne strony...

— Błogosławię tę chwilę, w której powie-
dzieć pani mogę, że kocham cię, jak z pe-
wnością żaden człowiek nie kochał!... — szep-
tał namiętnie piękny brunet.

— Daruje pan, ale... znając się tak krótko...

— Ach, czas jest rzeczą tak względną! Od
pierwszego spojrzenia na panią zrozumiałem,
żem odnalazł i odzyskał tę, która już dawno
była moją... Gdybym przed trzema tygodniami,
po banalnej formie przedstawienia, powiedział
był odrazu z tą szaloną radością, jaka wów-
czas rozpierała mi piersi: «Ach, jesteś nare-
szcie ukochana moja!» — z pewnością nie po-
pełniłbym niedorzeczności. Bo my już byliśmy
razem gdzieś w zaświatach... A pani, czyż nie
odczułaś tego?

Młoda kobieta spojrzała na niego z pod rzęs, i z zawrotem w głowie, prawie przerażona tem, co usłyszała, a jednak szczęśliwa, szepnęła:

— Doprawdy, powinnabym wstać i zostawić pana samego...

— Ale tego pani nie zrobisz, bo widzisz, że patrząc na ciebie, przeżywam całą wieczność szczęścia!... Ty za dobra jesteś, za wzniosła na takie okrucieństwo...

— Boże! jak pan możesz tak mówić?!... Co to wszystko znaczy? Czego pan żądasz? Przestań, bo się rozpłaczę...

— Co to wszystko znaczy? Czego żądam? Ach, żądam tylko, bym mógł uwielbić cię, uczcić, tak, jak na to zasługujesz, wnieść ci ołtarz i złożyć ofiarę!... Jakąż mękę cierpię, że oto w tej chwili nie mogę uklęknąć i modlić się do ciebie!... Jutro wieczorem... zrobisz mi pani tę łaskę... nie zaśniesz przed pierwszą.. O pierwszej będę tutaj w ogródku... Tylko uklękne przed tobą, ucałuję twe stopy — i pójdę. Żadne bóstwo nie odmówiłoby tego swemu czcielowi — a tyś jest dobre bóstwo..

Z rozpaczą raczej, niż z oburzeniem, odparła:

— Jak pan możesz mówić podobne rzeczy?

Prostu naznaczasz schadzkę kobiecie, która jest żoną i matką pięcioletniej córeczki — schadzkę w nocy!.. Czemu mnie tak poniżasz? Oh, oszaleć można...

— niesprawiedliwa! Ja cię poniżam? Sama pani nie wierzysz w to, co powiedziałaś! — Wiesz, że cię ubóstwiam, że tęsknię za tobą i całą mocą duszy pragnę oddać ci cześć, wyrazić uwielbienie!... A jeśli nie przekonują cię słowa, spojrzij w moje oczy. Czy wyczytasz w nich kłamstwo, czy zachwyt i miłość? Spojrzyj..

I zajął jej nagle w same źrenice, rzucając w nie pociski swych prześlicznych, gorejących oczu.

Odurzona, przymknęła powieki — ale pozostał już tam zwycięski obraz tej młodej, pięknej i rozkochanej twarzy męskiej.

Siedziała, oddychając głęboko, bezsilna, niema, z omdleniem w oczach i ramionach. Ale przy całym upojeniu, jakie jej ta chwila przyniosła, poczuła się bezmiernie nieszczęśliwą... Jak piorun spadła na nią jakaś przebolesna, gnębiąca iskra świadomości... Tak... nie dla niej długie lata błogosławionego spokoju i zgody samej z sobą...

I na sekundę wychyliła się ku niej jedna

chwila z przeszłości... owo pamiętne, rozdzielająco smutne popołudnie... Miała dopiero lat piętnaście. Matka, po gwałtownej scenie z ojcem, której ona nie rozumiała, wśród rzewnego płaczn, wzięła ją w objęcia i długo tuliła się do jej piersi, skarżąc się na jakąś straszną niedolę, na okrutne i niesprawiedliwe wyroki... Pamięta, że wśród łkań kilka razy matka wyszeptiała:

— Boże! zmiłuj się choć nad tobą! Odwróć od ciebie te męki, te walki i tę całą moją nędzę!...

* * *

Nazajutrz pani Aurelia, pokrzepiona snem, wstała z lekką głową i dziwną wesołością w duszy. Przykre i denerwujące wspomnienie wczorajszego wieczoru odepchnęła z łatwością, wzruszywszy ramionami. Zakrzętnęła się około śniadania, ubrała sama małą Janinkę, była wesoła, prawie pusta i przy śniadaniu rozśmieszyła męża kilkakrotnem zapewnieniem, że zje chyba cały koszyczek bułek, taki ma apetyt. Ucałował ją, odchodząc do biura, jakoś serdeczniej i cieplej niż zwykle. Po tej pieszczocie objęła ją wielka błogość i zrozumiała, że tylko taka cicha, taka święta błogość może

być szczęściem. Czuła też półświadomie głęboką wdzięczność za wszystko: za to, że wstała spokojna i wesoła, że mąż ją kocha, że Janinka to takie piękne i dobre dziewczątko, że dzień taki jasny, słoneczny, i długi — długi — nieskończony...

Postanowiła zrobić mężowi niespodziankę — taką drobną, kobiecą, małą niespodziankę... Chociaż nie smakosz i nie zwracał nigdy zbytnej uwagi na jedzenie, jednakże wiedziała, że smażonemi kurczętami z kompotem na trzecie danie uczyni mu przyjemność. O godzinie dziesiątej kurczęta były już przyniesione do domu, zabite, i w kuchni zaczynała się praca około obiadu. Wydawszy wszystko służącej, przeszła do pokojów i zaczęła przebierać się w lila suknię, zupełnie gładką z przodu, w której jemu tak się zawsze podoba. Wśród tego Janinka, piękna jak cherubinek, w różowej sukience, z rozpuszczonymi blond włosami, zaczęła budzić swe lalki, śpiące dotąd w łóżeczkach.

— Luciu, Emilko, Paulinko, Jadziu! wstawajcie, śpiochy! — wołała, wyjmując jedną po drugiej.

Stroiła je potem w barwne sukienki, najmniejszą tylko Jadzię ubrała czarno, gdyż była

w żałobie po swej mamie Natalci, której przed kilku dniami stłukła się porcelanowa głowa.

Ranne słońce wlewało do mieszkania całe kaskady radosnego światła, za oknami w ogródku było zielono, promiennie i wesoło. Pani Aurelia, słuchając lubego szczebiotu dziecka i widząc to rozradowanie natury, które wdzierało się do mieszkania, czuła się prawie tak lekką i wesołą, jak Janinka.

...Po południu uprosi go, aby nie szedł do biura, lub tylko na godzinkę, bo chciałyby bardzo, aby we troje poszli za miasto, tam, gdzie chodzili w pierwszym roku małżeństwa, na te wzgórza, skąd taki wspaniały roztacza się widok...

...Pragnie tak gorąco być tam dzisiaj z nim i z Janinką — i podobać mu się tak bardzo, tak szalenie, jak wówczas, wówczas...

Stojąc przed zwierciadłem i poprawiając różową dłonią swe wysoko upięte złotawe włosy, widziała, że jest piękną, że jej szyja bieluchna, jak alabaster, a na oczach o długich, czarnych rzęsach osiada wilgotne zamglenie, gdy myśli o tym pierwszym roku ich pożycia...

...Musi mnie kochać dzisiaj tak samo, tak patrzeć na mnie, jak już dawno nie patrzył, i szukać ust moich, gdy będziemy powracać

wśród usypiających pól, przy zorzy wieczornej... Musi...

Serce biło jej mocno, gorące tchnienia obejmowały głowę, dłonie paliły.

Nagle posmutniała, jakaś przesądna obawa wniknęła do jej serca — i dwie łzy stoczyły się po pięknej twarzy.

...Przecie on mój... jedyny... i chyba mi wolno...

* * *

— Jakaś ty prześliczna, Aurelko! — przywitał ją pan Jan, powróciwszy do domu.

Ucałował jej ręce. objął, przytulił do siebie i na czole serdeczny wycisnął pocałunek.

— Ale czy nie masz ty trochę gorączki, kochanie? — zapytał, czując żar, bijący od jej rąk i widząc dziwne światła w źrenicach.

— Oj, niefortunny lekarzu! — zaśmiała się wesoło. — Skądże znów gorączka? Ani głowa mnie nie boli, ani pragnienie nie męczy, a apetyt mój rano — pamiętasz? To ty wydajesz mi się jakiś słaby, czy tylko zmęczony...

— Istotnie. I jedno i drugie — ale cóż zrobić! Bardzo się spracowałem. Niedługo też po południu odpocznę, bo mam kończyć pilny i obszerny referat.

— Więc musisz iść po obiedzie do biura? — zapytała z sercem ściśniętem.

— Rozumie się, nawet wcześniej, niż zwykle. Ale za tydzień rozpoczynam urlop, jedziemy w góry i odpoczywam na oba boki. Biuro jednak muszę zostawić w porządku...

— Bo ja umyśliłam sobie prosić cię, abys poszedł z nami dzisiaj za miasto. Tak bardzo tego pragnę — i dzień dzisiejszy taki cudowny... Poszlibyśmy na te wzgórza obok kamieniołomów... Nie mógłbyś żadną miarą — dla mnie?

— Ostatecznie mógłbym, ale widzisz, kochanie, musiałbym chyba stracić jeden dzień urlopu, bo mam jeszcze zaległe rzeczy, które wypracować muszę. Bądź cierpliwa. Za tydzień już, swobodni, całe dni spędzać będziemy na przechadzkach. Gdybym was tak nie kochał, jak kocham, mógłbym być bardziej panem swego czasu, ale zależy mi na awansie i większych dochodach — dla was...

— Rozumiem cię, mój drogi. Ty jesteś nawet za dobry. Zapracowujesz się na moje stroje i głupstwa, a ja mam jeszcze dziecinne zachcianki... Eh, niegodziwa jestem..

— No, no, bądź tylko dalej taką niegodziwą, jak dotychczas, a będzie dobrze. Miło

mi dla was pracować, wy moje kobiecinki serdeczne. I nie wiem, którą więcej kocham, czy tę większą, czy maleńką... Maleńka miłsza jako przylepka, lecz większa ma znów pierwszeństwo...

Podczas obiadu toczyła się dalej miła i swobodna rozmowa. Pani Aurelia uspokajała się, rozważając całą szlachetność i uczciwość męża. Ulubiona potrawa była powodem wesołych i serdecznych żartów.

Czuła znowu pełnię błogości i spokoju — i znowu powtarzała sobie, że to jest prawdziwe szczęście. Tylko, gdy wstawali od stołu, i ona, ucałowana przez męża i jego całowała w rękę, co się w najlepszych ich chwilach zdarzało, nagle coś jakby załkało w jej sercu — i oparowało ją jakieś przejmujące, tęskne uczucie...

* * *

Przed wieczorem przyszły z przechadzki, lecz pana Jana nie zastały jeszcze w domu. Wróciła dziwnie zgnębiona i rozstrojona. Orzeźwiający tchnienia rozległych pól, radość i wesele pięknego dnia sierpniowego, pełnego słońca, nie przeniknęły do jej duszy. Szła, odpowiadając z przymusem na szczebiotanie Janinki,

zbierającej kwiatki, zatopiona w sobie, zastygła dla wszystkiego, co ją otaczało.

Trzy tygodnie temu byli tam w niedzielę wszyscy troje. Jakież rozradowanie lało się wtedy w jej serce z czystych błękitów! Jakże czuła się swobodną, lekką i młodą!

Dzisiaj, od razu spostrzegła już dużo zżętych pól — i na ten widok znowu tęskne uczucia, rzewne pożegnania, ciche żale zapłakały w jej piersi.

...Oto mija lato, mijają dni słońca, świeżej zieleni drzew i upajających oddechów rozległych równin! Zniknęły złote łany żyta, zniknęły wysokie, rozkołysane kłosa, co muskały ją po twarzy, gdy szła wązką miedzą... Nie dozna już tej czystej, subtelnej pieśczozy złotych kłosów... I czemu to takie smutne? Czemu jej tak tęskno, tęskno aż do rozdarcia serca za tą niedaleką przeszłością, za ostatnimi dniami? I za każdą mijającą chwilką było jej tęskno; za każdym promieniem słońca, które topiło się zwolna w własnych blaskach, coraz ogromniejsze i coraz czerwiesze; za każdym krokiem, który czyniła z powrotem ku domowi; za śladami stóp swoich na wązkiej ścieżce...

...Czemu? czemu?...

Złowrogie cienie zaczęły zakradać się do

jej duszy. Jakieś złe, przyczajone głosy zaczęły chychotać z czegoś, przedrwiwać coś...

...Dlaczego jego tu niema? Boże, Boże!... Patrzyłby na nią tak, jak wówczas, kochał i tulił, jak wówczas!... I wracaliby do domu w purpurze zachodzącego słońca, kochając się bezmiernie i pragnąc się bezmiernie, upojeni czarem swej miłości i uszczęśliwieni widokiem dziecka, biegnącego przed nimi, pięknego, jak ich miłość w pierwszych miesiącach pożycia, bo też i zrodzonego z miłości...

...On jednak jej nie rozumiał. Nie odczuł, jaka głęboka, rozpacзлиwa prośba drżała w jej głosie, gdy mówiła: »Nie mógłbyś żadną miarą — dla mnie?« Jakże była płaska, powierzchowna i nawet śmieszna jego odpowiedź! — Trudny referat, biuro, urlop za tydzień — a jej dusza!! Jej dusza, wijąca się w mękach dzisiejszego dnia!! No — ale znów jego uczciwość, jego głębokie przywiązanie. — — Odmówił wprawdzie chwilowej przyjemności, lecz jak myślał o ich przyszłości! Ehh, nikczemna jest, albo szalona — i wobec jego wielkiej uczciwości wielkiego przywiązania ze swojemi tęsknotami i bólami taka mała!!

...A jednak ta myśl jej nie uspokaja: płakać jej się chce — i nie tylko płakać, ale

szaleć z bólu, kaleczyć się, rozdzierać sobie piersi!... Bo znowu słyszy gdzieś w głębiach duszy jakieś złowrogie chychoty i przekorne głosy, co szydzą i z jej melancholii, i z jej smutku, i z uczciwości męża, i z całego dzisiejszego dnia, który spędza w tak różnych nastrojach...

Wszedłszy do mieszkania, przeszła, szukając instynktownie chłodu, do salonu. Usiadła w fotelu, zdjęła kapelusz i patrząc bezmyślnie w wiszące naprzeciw zwierciadło, zaczęła powoli ściągać rękawiczki.

Janinka, już bez kapelusika, z pękiem kwiatów w rączkach, przybiegła do niej i kładąc jej kwiaty na kolanach, zaczęła prosić:

— Moja mamusiu, zrób z tego bukiet, ale bardzo ładny, a tatusiowi powiemy, że ja zrobiła... Dobrze? Zwiedzimy tatusia...

Pani Aurelia nie odrywała oczu od zwierciadła. Ujrzała w niem twarzączkę dziecka obok swej twarzy i po raz pierwszy uderzyło ją w szczególny sposób ich wzajemne podobieństwo...

— Mamusiu, zrobisz bukiet dla tatki? Cemu nie mówisz? czemuś taka smutna?

A jej znużoną głowę jakby ognisty zygzak piorunu przeszył w tej chwili. I na moment

uczwała, że ziemia rozstąpiła się pod nią — lecz wnet uspokoiła się zupełnie i zimna, przenikliwa, jakby patrząc na rzeczy obce, badała pilnie te dwie twarze: twarz własną i twarz córki... Serce w niej zastygło, wszelkie uczucia zamarły — —

...Moje oczy i rzęsy, nawet moje spojrzenie... Ta sama budowa czoła... Nosek ten sam... nozdrza delikatne, ruchome... wargi trochę pełniejsze, niż moje... i owal zapowiada się taki sam... Więc kiedyś i ona?! i ona?!...

I blada, ścierpnięta, nie była w stanie zrozumieć słów dziewczynki, powtarzającej już z płaczem, drżącemi usteczkami:

— Mamusiu, czemu nic nie mówisz? Czy mnie nie kochasz? Czemu tak patrzysz na mnie? Mamusiu!!!

* * *

— Dobranoc ci, Aurelko!

— Dobranoc — odpowiedziała cicho i wtuiliła twarz w poduszkę, aby nie rozpłakać się w głos.

Pan Jan wrócił późno, bardzo znużony i zaraz po kolacyi się położył. Przeglądął gazetę i czując sen na powiekach, zgasił lampę. Wkrótce usnął twardo.

A ona została sama! sama!

Gorące, obfite łzy zaczęły płynąć po jej twarzy. Łkała cicho, przyciskając co chwila ręką szarpane rozdzierającym żalem piersi.

...Było jej źle, działa jej się straszna krzywda! Czuła się chorem dzieckiem, dla którego wszyscy są obojętni, niegodziwi, którego nie rozumieją i nie kochają. Czyż on dzisiaj chociaż raz zajrzał głęboko do jej biednych, tęsknych oczu, żebrzących pomocy, opieki? Nie zadał sobie tego trudu! Chciała natchnąć go pragnieniem miłości, rozplómić serce — nie odczuł, nie zrozumiał! Była dla niego tak piękną i dobrą przez dzień cały, a on prawie wymknął się z jej objęć, zmęczony pracą biurową — i usnął, usnął!! Oto jest opuszczoną sierotą, nie mającą na czyich piersiach się wypłakać — i taką samotną, taką nieszczęśliwą wśród tej ciszy nocnej i tych oddechów dwóch blizkich, a przecież obcych, okrutnie obcych istot!...

Oczy, pełne łez, żarem ją paliły, niezmierny żal przenikał serce. Zdławionem gardłem parł się jakiś szalony, dziki okrzyk bólu, który jakby tam uwiązł i nie mógł się wydobyć. Zdawało się jej, że gdyby mogła go z siebie wyrzucić, cała jej męka by się skończyła.

Usiadła na łóżku i długo przez łyzy patrzyła w okno, za którem unosiła się senna, czarująca noc letnia, pełna gwiazd. Potem machinalnie, nie zdając sobie sprawy, zsunęła się na podłogę, odziała się w jasny, ranny szlafroczek, i cicho, w miękkich pantoflach, wyszła do salonu.

Dwa duże okna i oszklone drzwi od werandy widniały w grubych mrokach z występującymi na ich tle czarnymi krzyżami ram. Rzuciła się na fotel, położyła głowę na oparciu i zapatrzywszy się w noc gwiazdzistą, szepcąca dziwne tajemnice szumem wietrzyka, uspokajała się, cichła. Jeszcze kilka gwałtownych szarpnięć piersi, kilka półjęków, westchnień — i cisza, uroczysta cisza nocy. Tylko wietrzyk szepce tajemnice gałązek, całujących się drżącymi listkami na szczytach drzew, i tajemnice kwiatów śniących. Cisza. I w jej głowie udręczonej i wyczerpanej cisza — osłupienie.

W przyległym pokoju zegar ścienny uderzył jakąś godzinę. Drgnęła, nie licząc uderzeń, pogrążona jakby w nicości, z duszą oniebiałą.

Za chwilę stanęła przy oszklonych drzwiach werandy. Podeszła tam odruchowo, pocią-

gnięta łańcuchem białych, fantastycznych obłoków, które, przeciąwszy mleczne drogi, zasłoniły jej pasmo migocących gwiazd.

Oparta ramieniem o framugę, stała zapatrzona w posuwający się zwolna korowód chmurek na tle roziskrzonych, granatowych, dalekich bezmiarów, które ciągnęły magnetycznie jej oczy samotne i piersi, westchnieniami nabrzmiałe.

...Noc! noc! noc! — wołały w niej jakieś głosy wzruszone — i czuła, że ta noc, te bezmiary gwiazdziste biorą ją w siebie, pochłaniają, unoszą.

Tymczasem łańcuch obłoków, gnanych spokojnym wiatrem, ukazywał jej dziwy na wysokościach. Oto jakiś człowiek olbrzymi, z twarzą sępa, leży, jakby dopiero powalony w walce; głowę trzyma jeszcze uniesioną w górę i rękę groźnie wyciągniętą. Za nim, wsparty na jego nogach i patrzący mu wprost w twarz, sunie powoli sfinks z lwią grzywą, a dalej wyrastają dwie długie szyje, jakby szyje żyraf, z wązkimi pyskami, zwróconymi w bok. Potem okręt o jednym poszarpanym żaglu; potem olbrzymia sylweta twarzy kobiecej, prześlicznej i smutnej, z czołem pochylonem na dół; dalej biust jakiś, wreszcie łeb

zwierzęcy z rozsochatymi rogami — przeogromny, potworny.

I cały korowód, zasłaniając blednące przed nim gwiazdy, sunie naprzód powoli — majestatyczny, milczący. Coraz to inne gwiazdy bledną, łzawią się i gasną...

Zapamiętała się w tych widziadłach, nieruchoma, oderwana od siebie samej, zmagnetyzowana ogromem i ciszą bezmiarów.

Naraz ujrzała po za tym łańcuchem obłoków inny korowód widm — mniejszych i przejrzystych. I spostrzegła znowu kształty zwierząt, okrętów i pięknych lub straszliwych twarzy ludzkich. Te srebrno-białe obłoczki, szybciej płyną w przestworach, i zda się, iż toną w pasmie większych obłoków. Co chwila widzi, jak głowa jakaś, kształt jakiś ludzki lub zwierzęcy, ginie zdławiony, pochłonięty. Oto maleńka, jakby klęcząca postać kobieca, z rozpuszczonymi włosami i twarzą wzniesioną w górę, zatoneła nagle w cielsku jakiegoś potworu z rozwartą paszczą...

...Czemu ja na to patrzę? czemu to widzieć musiałam?... Biedna, modląca się... ach, Boże...

Zawirowało jej wszystko przed oczyma. Granatowa kopała nieba, pełna złotych gwiazd, jęła chwiać się, rozpadać, i długie promienne

smugi, niby ulewa ognista, poczęły lecieć na jej głowę...

...Straszne! straszne! straszne!...

Wtem, jakby żywa, zjawiała się przed nią męska, piękna, rozkochana twarz, owionął ją gorący oddech, a z nim omdlenie — słodka niemoc — przedsmak jakiejś bolesnej rozkoszy...

Lecz jednocześnie zwała się na jej głowę myśl, ciężka i miazdząca, jak skała.

...Bo napotkałam takiego, który mnie przejrzał i poznał, że jestem jego kobietą... Odczuł, że może mnie wziąć — i rozkazał... I ile razy taki zażąda — —

Była tak złamaną, słabą i osłupiałą, że nie miała już siły ani myśleć, ani cierpieć, ani ruszyć się z miejsca.

Tylko raz jeszcze, ostatniem wytężeniem, podniosła się w niej konająca wola i zamajaczyła myśl:

...Odejść stąd... obudzić go... prosić o pomoc...

Na moment fala błogości oblała jej zgorączkowaną twarz — lecz nie mogła ruszyć się z miejsca: nogi jej ciążyły, jakby skamieniałe.

...Ach, gdyby przyszedł, wziął ją na ręce i wyniósł stąd... Boże!!

Mgliste, zmacone pragnienie modlitwy ożyło na moment w jej duszy.

Wtem serce uderzyło jej straszliwie, tamując oddech. Zegar ozwał się krótko, a jednocześnie wśród szpaleru krzewów na ścieżce poruszyło się coś czarnego. Zbliżało się — rosło: — postać wysmukła — prosta — piękna...

Już widzi za szybą twarz — białe czoło — oczy... Bez oddechu, z sercem walącym jak tyśiące młotów, z dzwonieniem tysiąca dzwonów w uszach i skroniach, oderwała się od miejsca i, jak lunatyczka, nie wiedząc kiedy, obróciła kluczem.

I nie wiedząc kiedy, omdlała, z głową obciążoną, długim złotym warkoczem, osunęła się w męskie ramiona, które oplotły jej jasną postać, jak dwa czarne węże.



ZA KRZYŻEM...

THE REVERSE

Zegary z wieżyc stolicy wydzwaniały godziny poranne, jak w obłąkaniu. Bo nie było owego dnia poranku: nie było zwycięstwa światła nad ciemnością, ni budzącego otuchę uśmiechu życia. Wśród orgii wściekłego wichru padł na ziemię złowrogi zmierzch — zmierzch grozy i oczekiwania rzeczy straszliwych. Nad miastem huczał orkan: przejmujące wycia, jęki i zawodzenia leciały przestworami, jakby Rozpacz, Boleść, Gniew i wszystkie potęgi, targające sercami ludzkiego pogłowia, uwolniły się z pęt i w zaciekłym boju szalały nad ziemią.

Z wrzawy tej walki napowietrznej wydzie-
rały się co chwila grzmiące okrzyki i gwałto-
wne uderzenia, jakby hufców zaciężnych; wycia
uciekających w obłądzie trwogi, podnoszącej
włosy na głowach; zamierające, przebolesne
prośby o miłosierdzie; i cięcia straszliwe, i razy
okrutne, i rżenia pełne grozy i rozpacz.

Zdawało się, że na wysokościach Przeznaczenie gotuje wyrok wszechzagłady, który ma się spełnić lada chwila, a wszystkie żywioły głosem wielkim wołają: Biada! Zdawało się, że wśród tych jęków, łkań i wybuchów rozpasanej wściekłości potęg, toczących z sobą bój zażarty, na ciemnych całunach chmur jakaś ręka przeogromna zacznie kreślić znaki ogniste, jakieś Mane — Tekel — Fares, które płonąć będą złowrogo nad ziemią struchlałą, oślepiłą i zapadającą w wieczysty zmierzch śmierci...

.

Obowiązek pracy codziennej wypędził mnie z domu i wichura straszliwa gnała ulicą błotnistą, ciemną, jak o zmroku i prawie wyludnioną. Jakieś gnębiące, przesądne uczucie legło mi na duszy, a z głębin jej rozszlochana tęsknica naprózno błagała o jeden błysk żywego światła... Dookoła burza zawodziła coraz dziksze harce. Szedłem z oczyma mokremi od płatów śniegu, jakie z pędzących nisko chmur raz po raz się sypały, z świstem wichru w uszach, miotany jego uderzeniami, popychany i sieczony. Niekiedy wymijali mnie mężczyźni, spieszący do zajęć z podniesionymi kołnierzami i rękami w kieszeniach, lub służące,

szamocące się z wichrem. Nad sklepami trzęsły się szyldy, piszczwały i zgrzytały haki i zawiasy.

Wtem posłyszałem za sobą jakiś fragment melodyi, głuszony natychmiast wyciem wichru. W pierwszym momencie sądziłem, że to złudzenie słuchu, lecz, gdy zbłąkana nuta powtórzyła się znowu, odwróciłem się i stanąłem, grozą przybity.

Dopędzał mnie pogrzeb wiejski. Pod tem niebem w żałobie, wśród tego złowrogiego zmierzchu o rannej godzinie — ten smutny pochód! Przodem szedł szybko człowiek, trzymający oburącz krzyż, tuż za nim gromadka chłopów z odkrytymi głowami, dalej dwa wozy — na pierwszym z nich biała trumna.

Zmoknięci, w zabłoconych kozuchach i sukmanach, z rozwichrzonemi czuprynami i baranicami w zgrabiałych, czerwonych rękach, szli środkiem ulicy zamasyście, krokiem chłopskim, niedbałym, rozmachanym. Gdy mnie mijali, śpiewali litanię, powtarzając chórem raz po raz monotonne, żałośliwe: Módl się za nami!

Straszliwa burza zimowa pastwiła się nad nimi bez miłosierdzia, jak zła dola, twarda, chłopska dola; śnieg i wichura smagały i gnały ich, niby stado bydła, na rzeź pędzone — a oni

szli ciągle tym samym, różnym krokiem za krzyżem, wzniesionym nad ich głowami, a szli już tak miłą lub może więcej, zanim do rogatek miejskich dotarli!... Zdawało się, że wcale im to nie dolega, co się naokół dzieje, że nie czują tego, a nawet nie spostrzegają; że ten Chrystus toruje im drogę wśród zamętu i okropności walki — bo oto z modlitwą na ustach idą tacy pewni i spokojni, jakby w słoneczny, najpiękniejszy dzień...

Oczekiwałem tylko chwili, gdy wichur omdleje, ciemna zasłona chmur rozedrze się w środku i snop światła spłynie na te głowy odkryte, jak błogosławieństwo...



OSIEROCONA

Jakóbowa kończyła okopywać stajonko ziemniaków. Wśród rozległych pól była sama jedna. Za najbliższą miedzą, gnane podmuchami łagodnego wiatru, płynęły płowe fale okwitającego żyta i zieleniły się łany jęczmienia, co już poczynał się wysypywać. Pochylona, w zgrzebnej koszuli, krótkiej, czerwonej spodnicy i żółtej chustce na głowie, pracowała w skwarze czerwcowego słońca, stojącego jeszcze wysoko. Okopując rządki za rządkiem i posuwając się powoli, wzdychała ciężko, z głuchym jękiem, i przestała już nawet ocierać załzawione oczy, taka okrutna zmogła ją żałość. Łzy, jak groch, padały z pod jej jasnych rzęs na zieloną nac kartofli.

— Szczęść Boże! — rozległo się nagle w pobliżu.

— Daj Panie Boże! — odpowiedziała, nie podnosząc głowy w stronę miedzy, którą szła jakaś kobieta.

— Darzy się dobrze?

— A darzy się...

Przechodząca przystanęła, ujrzawszy jej czerwone od łez oczy.

— O rety! a cóż to wam, Jakóbowo? O cóż płaczecie?

— E, moiściewy, jak też nie mam płakać, biedna sierota? Dy cóż mi ostało na tym świecie, odkąd mi Pan Jezus zabrał mego Kazimirka?

— Widzi mi się, że to już dawno, jak pomar, zaraz po Wielkanocy... ej, abo później... Zabaczyłam se... Ja z tamtego końca, rzadko was zdybuję i nie wiem dokumentnie, co kaj słychać... Toli i teraz ino trafunkiem was zdybałam. Idę do dworu po kacze jaja, bo mi kura strasznie chce siedzieć. Ale dajcie se spokój, nie wydziwiajcie... Nie trza dziecku nieba żałować.. Pan Jezus wie, co robi...

— Mówi się wam, moiściewy, i tylo, a mnie taka żałość rozpiera, że mało nie pękne. Toli kończę odrobek u wójta, co mi pożyczyli pięć papierków na pochów...

Oparła się na kopaczce, otarła oczy zapaską i szepnęła, połykając łzy:

—E, moiściewy...

Tamta podparła dłonią brodę i nastrojając się żałobnie, zapytała:

— A cóż mu było, że tak pomar? Widzi mi się, miał ze sześć roków i chłopak był niczego...

— A juści... Taki był bachor przylepny, tak mi już świadczył, tak smyślnie chłopu gadał do sumienia, jak mnie poniewierał... bo wiecie, jaki mój chłop... Pewnikiem gorszego niema w całej wsi. Ja, moiściewy, nijakiej warzy se nie gotuję, odkąd go pochowałam, bo jak se wspomnę, jak łośńskiego roku o te czasy, na przednówku, zbieraliśmy we dwójkę suchy gnój na pal po pastwisku, tak wam go widzę kole siebie i słyszę, jak mi wele uszów ćwierka, kieby ten wróbelek. Zjem co ciepłego ino u kogo, jakem na robocie. Mój ciągiem na mrówkach*); przyjdzie w sobotę, sprzeklina, zwyzywa, wyżenie z chałupy; w niedzielę przeda toto w mieście i pije, ścierwo, aże ostatni grajcar ostawi u żyda; potem znowu przekleństwo i obraza boska w chałupie... Dy wiecie... Zna go cała wieś, tego ancykrysta... I już mi te-

*) Niektórzy bezrolni wieśniacy z pod Krakowa przez wiosnę i lato chodzą do Królestwa, gdzie w lasach zbierają mrówki i mrówcze jajka.

(Przyp. autora).

raz, sierocie, nikt w chałupie dobrego słowa nie da... Wielki grzech bierę na sumienie, ale już o nic Pana Jezusa nie proszę, tylo, żeby mnie zabrał, jak Kaźmirka...

— Cichoście, nie obrażalibyście Pana Boga. Taka Jego wola przenajświętsza i spokój. Jeszcze On was pocieszy... On ma więcej, jak rozdał..

— E, kaj ta pocieszy, moiściewy. Dostatku nijakiego nie da, bo mego chłopca od gorzałki już nic nie strzyma; krowiny nie kupię, świni nie uchowam, a mego Kaźmirka już nie obaczę, biedna sierota! Pomarło mi przed nim dwoje małych, przy piersi... Popłakałam se, przebolełam — ot, wola boska... Ale ten!... Ilem biedy z nim użyła, to jednemu Panu Jezusowi wiadomo, i cud boski, że się dotąd uchował.. Nie było tygodnia, jak przyszedł na świat, a już musiałam z nim w nocy uciekać na chałupy, boby nas był oboje pozabijał. A ile razy, bywało, w zimie, przyjdzie w nocy opity, stanie nademną i dalej walić po łbie i kaj trafi: zabiję cię, ty zdechła suko, ty taka, ty owaka: — to ja, przyczaję się, a potem się zerwę, odpchnę go jedną ręką, drugą porwę dziecko i dalej na chałupy. Poswarzą jedni, że ich po nocy budzę, ale puszcza; inni nie puszcza —

to ja pięść pod głowę i czempieję tak na jakiej kupie pyrzy pod chlewem bez calušką noc. Przyjdzie jaki pies, obwacha, nic nie powie i pójdzie... Widzę, dziecku zimno, to zdejmę spodnicę, otulę toto, żeby do cna nie uświerkło... I w takiej poniewierce chowało się to słońko moje serdeczne... Jak mu już było cztery roki i więcej, to nie raz mi rzeknie: »Nie trapcie się mamuniu, ja wnetki taki duży urosnę, to nie dam tatusiowi nijakiej krzywdy wam robić i zarobię wam na chleb i nia spyrkę wam zarobię...« A chłopca mało to razy straszyl tak smyślnie: »Nie bijcie mamy, bo będę Pana Jezusa prosił, żeby mnie wam wzion...« I wysłuchał go Pan Jezus na moją niedolę...

— Dajcie spokój, moja Jakóbowo, trza wszystko Panu Jezusowi ochfiarować... Krosty waszego chłopaka udusiły, czy mu na wnętrzu co było?

— E, abo ja wiem sama, moiściewy. Kiejście dobrzy i chcecie posłuchać, to już wam dokumentnie opowiem. Zaraz po Wielkanocy pojechaliśmy sadić ziemniaki. Cepiec Franek dał koni na odrobek przy żniwach. Straśnie było zimno, choć niby słońeczko świeciło. Wzieno go też zimno trząść i ciągiem się kuli i kuli na wozie. Mówię ja do chłopca kiela razy:

»Słychaj, przelecę z dzieckiem kaj do chałupy i ostawię, bo się oziębi bardzo i będzie chorzał«. A on na to, jak to on: »Idź ty psia!.. haw pilniejsze ziemniaki, jak dziecko. Cie ją! gonić na chałupy, mitrzyć kiel czasu, a ziemniaki kto wysadzi przede wieczorem?« Takeśwa i zostali i sadzili aż do nocy. Kaźmirkowi w te razy cosi padło na piersi i ani głosu nie wydał. W chałupie nic jeść nie chciał i ciągiem abo leżał rozpalony, abo zimno go biło, aże okropa. Po dwóch niedzielach dał Pan Jezus ciepła, słońko przygrzało i jemu też się poprawiło. Tak ja mu, co mogła to poddawała: to mleka kapkę, to miodu od Ślamy, to to, to owo... Ale jak trzeciej niedzieli chłop w mieście sprzedał mrówki i późno w noc wrócił opity, to już od tego czasu do krzty mowę stracił. Bo zaraz, tej samej nocy mój wzion mnie bić, ja mu się wydarła i uciekła na drogę, a dziecko zgrzane, w koszulinie za mną... Potem w chałupie to już ino dyszał, pokazywał czego chce, abo leżał rozpalony i ani pojrzał na mnie. Czasem ino obłapi mnie za szyję i rzeknie cichusko: »Weźcie, mamuniu, tatusiowego szydła i przebijcie mi w gębie, bo mi tam cosi strasznie zawadza...«

...Chłop miał jeszcze parę szóstek, dwa dni

pił i wałęsał się po wsi, a na dziecko nie pojrzał. Jak już przepił wszystko, wzion na bóg od Ślamy bochen chleba, sera, pożyczył se cosicentów i idzie za granicę na mrówki. Tak ja mu mówię: »Ostań, dziecko takie chore, może jutra nie doczka«... A on nic... Staął nad nim ociupinę i peda: »Abo ja cię użrę jeszcze, abo nie użrę; ale pewnikiem cię nie użrę«... I poszedł, ancyryst, i ani krzyżyka nad nim nie zrobił.. W nocy tom się już nie kładła ani na troszkę. Dziecko leżało kieby drewno. Nagle o północku zerwał się z posłania, poszedł do okna, stanął se tak w koszulinie i mówi: »Tatusiu, czemu nie przychodzicie? Tak mi się cnie za wami...«

...Wzienam, obtuliłam, dałam mleka, ale nie chciał, i tak przeleżał do świtania. Rano ogarnęłam się, ubrałam go i wzienam do miasta do szpitala. Może się Pan Jezus ulituje, może mu dochtór zada cosi, co mu będzie lubować. Dy już raz taki był, a ulżyło mu się samo od siebie. Może się Pan Jezus miłosierny ulituje, myślę se, i niesę go, ale był strasznie ciężki, bo to mila drogi, moiściewy... Jakem przyszła, tom taka była, jakby mię z wody wyjął, a rękami tom nijak ruszyć nie mogła. Dochtór go obezrał i powieda: »E, moja kobieto, nie możecie

go brać do domu, musi tu zostać, bo tam sami nic nie poradzicie». »A mogę go też dzisiaj jeszcze obaczyć?« — pytam, a tak się we mnie wszystko trzęsło od strachu, że mało nie siadła na ziemi, jakem dochtora za nogi podjęła... »Możecie -- mówi dochtór — ale dopiero o trzeciej popołudniu«. Tak ja wyszła ze sali z posługaczką i dałam jej szóstkę niewymawiający, co mi Ziębina pożyczili. Nie chciała brać, ale ją tak ładnie prosiła, że wziena... Kazała mi iść na miasto, a przyjsć, jak ino trzecia odbije — i pokazała kaj on leży... że w tem pierwszym oknie na rogu... Ale ja nigdzie nie poszła, chociażem w gębie od wczorajsza wieczora nic nie miała, tytkom se siadła przede szpitalem na kamieniu, modłę się do Przemienienia Pańskiego i patrzę ciągiem w to okno, kaj mój Kaźmirek... Nie byłabym za nic stamtąd odeszła; jakosi raźniej mi było bliżej niego...

...Wnetki połędnie się zrobiło i zaczeni na Anioł Pański dzwonić po kościołach... Ja się żegnam, a tu patrzę, moje okno zasłaniają... Taka mnie żałość opadła, jak ja to okno zasłonięte uźrała, że jak nie wezmę wrzeszczyć, gwałtować, o Jezu mój kochany... Do dzisiaj nie wiem, co się ze mną robiło bez te trzy go-

dziny. Jacysi ludzie stawali nademną, przegadywali grzecznie — a ja płacę i lamentuję, wszystko w oczach mi się troi i mało nie pękne... Bo mówię wam, tak mię cosi żgnęło w serce, że to on tam pewnikiem Bogu ducha oddaje i ogląda się niebożątko za mną, a mnie nikaj niema!...

...O trzeciej otwierają bramę. Lecę ja do sali, w sali go niema. Patrzę: idzie do mnie posługaczka, a trzyma jego przyodziewek. »Wasze dziecko umarło w południe, (mówi) macie tu jego rzeczy; jutro będzie pogrzeb«. Jakem to usłyszała, to jakby mię kto polanem bez łeb zdzielił: obróciło mi się wszystko do góry nogami... Alem potem się dopraszała, żeby go sami nie chowali, bo ja go chcę uczciwie, po katolicku pochować. Wzienam do chałupy przyodziewek, uprałam koszulinę, co miał od święta, wyszywana, z kołmirzykiem, i portczęta, com mu pod jesień kupiła. (Chłop o niego nie dbał, alem ja dbała, żeby zawdy miał przyodziewek, jak się patrzy... Dy i kapelusek kupiłam mu jakosi na święty Wojciech...) Pożyczyłam se od wójta piątkę na odrobek, kupiłam trumienkę, przyniesłam do kośnicy, ubrałam — i pochowałam se sama moje niebożątko, kieby jakie przez ojca... Choć mi go ta pokrajali, (bez główkę

miął przecięte i bez brzuszek) ale śliczniutki był i miły, kieby kwiateczek... Oj dziecko moje serdeczne!...

...
 Po chwili, gdy znajoma odeszła, Jakóbową okopywała dalej ziemniaki, rząddek za rządkiem. Wśród rozległych pól była sama jedna. W pobliżu, gnane podmuchami łagodnego wiatru, płynęły płowe fale okwitającego żyta, zieleń się łąny jęczmienia...



W NOC ZADUSZNĄ

Ucichły już ostatnie kroki ludzkie wśród rozległego cmentarza, jaśniejącego od mnóstwa świateł, zapalonych na grobach. Przebrzmiał rozgwar tysięcznych rzesz, które przez dzień cały przepływały smutnymi alejami. Gorzkie łzy osieroconych opadły na zimną, skostniałą ziemię mogił, ciche westchnienia i łkania, pełne bólu i tęsknoty, poniósł wiatr listopadowy między smukłe tuje, ogromne czarne modrzewie, w gęstwą gałęzi starych sosen i świerków — a drzewa cmentarne, wśród chwiań jednostajnych, zdawały się szeptać dalej błagalne modlitwy i zawodzić żale nieutulone.

W milczeniu i nieruchomości stały szeregi białych grobowców i tysiące krzyżów, otwierających ramiona nad mogiłami. Z każdą chwilą, im więcej konało świateł, rzucających naokół niespokojne, trwożne blaski, tem śmieiej wypełzały przyczajone między grobami mroki

i mknąc nad mogiłami, kładły na nie swe kiry żałobne. Tylko księżyc, płynący górą wśród niebieskich przestworów, ilekroć wyjrzał z za obłoku, siał białe światło na krzyżujące się wstęgi ścieżek, srebrzył czuby drzew i dobywał z cienia białe, kamienne postacie, patrzące martwemi oczyma w przestrzeń daleką i niezgłębioną, jak wieczność.

Wreszcie zagasło ostatnie światełko na małej mogiłce, zapalone drżącą ręką matki wyrob-nicy, która po wielu godzinach ciężkiej pracy późnym dopiero wieczorem przybiegła tutaj, niosąc dla swego dzieciątka smutne dary grobowe. I cmentarz cały zatonął w głębiach nocy, co niby całun olbrzymi zwisała od nieba ku ziemi, zasłaniając świetlane oblicze księżyca. Z nizin, z pośród mogił, poczęły wstawać coraz silniejsze poszumy, westchnieniom podobne, uderzały w szeregi drzew, w murowane ulice grobowców i leciały w ciemną otchłań z jękiem i zawodzeniem. Zdało się, że z niezliczonych piersi ludzkich, na które zwały się ciężkie sny, wydzierają się te głosy boleści, wiatr bierze je na skrzydła i lecąc wśród gałęzi drzew, płacze ogromnym, rozdzierającym płaczem.

I rozszłochało się ciche, zatopione w mro-

cznych głębiach miasto umarłych. Wyniosłe szczyty świerków i modrzewi, pochylając się jednostajnie, zawodziły pieśń bólu i żałoby; rozsochate gałęzie sosen wśród szumów tajemniczych przemawiały mową trwogi i grozy; bezlistne lipy i klony z suchym szelestem roniły słowa nienazwane, zimne, twarde i zdające się szeptać jakieś nieodwołalne, druzgocące wyroki...

A z pod dumnych grobowców, obelisków, i kaplic szły ku górze zrazu ciche, potem coraz głośniejsze, coraz bardziej łzami nabrzmiałe wołania:

...Biada nam, którzy spoczywamy pod marmurami!

...Biada nam, którzy wśród uciech i radości pędziliśmy żywot znikomy!

...Biada nam, którzy mieliśmy bogactwa, moc i władzę, a nie pełniliśmy przykazania miłości!

...Miłosierdzia dla nas, którzy kochaliśmy tylko siebie!

...Niechaj ustąpią płyty granitowe, niechaj odwałą się marmury, niechaj odjęte nam będą smukłe obeliski i białe posągi!

...Niechaj setki lamp barwnych i wieńców kwiecistych zdejmie nam z grobów dłoń lito-

ściwa, aby mogły nasze stały się podobne tamtym, bezimiennym, zarosłym zielskiem i chwastami — mogłom bliźnich naszych, dla których nie byliśmy bliźniami!

... Bo ciężą nam te marmury, alabastry, granity, cięży każda ozdoba, dająca wyraz próżności, a każde wiotkie kwiecie ugniata nam piersi, niby bryła ołowia!...

Gdy tak w posępnych mrokach płakały groby marmurowe, do niedawna jeszcze jaśniejące od powodzi światła, od których krwawa łuna biła w niebo — z ubogich równin cmentarnych, gdzie pokładło się obok siebie szare mrowie ludzkie, a na zapadłych mogiłach chyliły się próchniejące krzyże, z szumem wiatru ulatywały głosy:

... W pracy i trudzie spędziliśmy smutne dni nasze, my, wyrobnicy rąk i wyrobnicy mózgu... Od kolebki do trumny napawani wzdargą, odpychani, krzywdzeni, nosiliśmy na czołach przekłete piętno wydziedziczonych... Pośród ciemności kopalń, dymu fabryk i hut, do ostatniego tchnienia krwawiliśmy ręce w znoonej pracy, nie zaznawszy uśmiechów życia...

...Odjęta nam była radość dni młodocianych i słodki spokój starości. Srogi bat nie-

ubłaganej potrzeby gnał nas z dnia na dzień do mozołu, do trudu, do wysiłku, zlewającego potem skronie zapadłe. A ci, co byli nad nami, lubo wyznający usta braterstwo i prawo boże, nie zajrzeli nigdy w dusze nasze, nie posłuchali bicia serc naszych, albowiem juczniemi zwierzętami, lub tylko narzędziami, potrzebnemi im do czasu, byliśmy dla nich na ziemi...

...Służyliśmy za podłóże ich rozkoszy, ich szczęśliwego dosytu; za podścielisko dla pięknych kwiatów ludzkich, które nie wiedziały, że soki swe żywotne biorą z naszej krwi, łez i śmiertelnego trudu...

...A klątwa nędzy i niedoli, jak sęp drapieżny wisiąca bezlitośnie nad naszemi głowami, póki nie dopełniła się męka żywota...

— Nie wszyscy byliśmy krzywdzicielami! — odpowiedziały grobowce z marmuru. — Nie wszyscy zapominaliśmy o przykazaniu miłości!... Dla wielu bogactwo było ułudnym szychem, zakrywającym nędzę żywota, może większą od nędzy w łachmanach. I łez zazналиśmy i krzywd i sieroctwa, a klątwa niedoli i nad naszemi wisiąca głowami aż do ostatniego tchnienia...

* * *

Ukryte za całunami nocy, dalekie, niedościgłe niebo słuchało w milczeniu tej litanii bólu i nędzy człowieczej. Westchnienia wiatru cichły zwolna, gałęzie drzew sztywniały w nieruchomości. Prostowały się świerki, sosny i modrzewie, jakby kamieniejąc z grozy nad tą otchłanią niedoli i łez. Wtem blada jasność miesiąca rozdarła czarny szmat chmur, opuściła się na ziemię i szła wśród szeregów mogił, cicha i łagodna, jak ukojenie. Wstawały z nicości białe posągi, smukłe kolumny; całe aleje drzew poczęły pokrywać pyły srebrzyste. A na rozległej części cmentarza, gdzie wznosiły się same drobne mogiłki, wykwitły nad dziecięcymi grobami smugi świetlane i jęły mknąć w górę białą ławą, niby stado ptactwa, co zerwało się nagle do lotu. Jasny orszak, wznosząc się ciągle, rósł z każdą chwilą, aż utworzył jakby drabinę Jakóbową, sięgającą nieba. Wówczas w powodzi mistycznych, księżycowych blasków zaczęły się rysować drobne postacie, ukochane i opłakane na ziemi rzekami łez. Występowały krągłe główki, wątle ramionka i małe rączęta, złożone na piersiach lub wzniesione jak do modlitwy. I nieprzeliczona rzesza postaci dziecięcych, lekka jak obłok wiosenny, zawisła wśród bezkresów niebieskich w jasno-

ści i ciszy. Bezdenny ocean światła coraz obfitszemi falami zalewał długowłose główki, dawał życie słodkim oczętom, wzniesionym w górę z gorącą, niemą prośbą i stroił całą rzeszę w przejrasne tchnienia tęcz. I wśród tej ogromnej, tajemniczej ciszy zdało się, że z nie-doścignionej dali, z nieśmiertelnych przestworów wieczności płynie pieśń jakaś cudowna rozbrzmiewa jakaś muzyka anielska i z tym orszakiem duchów rozmodlonych łączy się w niepojętą, błagalną symfonię...

Zasłuchały się w nią bolejące groby i umilkły. Błogosławione sny utuliły żale, skargi i rozpaczę. A gdy pogodny ranek jesienny zaróżowił niebo i w blaskach słońca zstąpił na ziemię niby uśmiech boży, nad tysiącami mogił, okrytych białym szronem, unosiło się jakby wołanie dusz ukojonych: Bądź wola Twoja!



NIESZKODLIWA...

— Oh, proszę ja pana — mówiła, chwiejąc smutnie głową, sześćdziesięcioletnia panna Wiktorya Idzińska — prawdziwy krzyż pański z tą Marynią... I to od dwudziestu przeszło lat tak z nią cierpimy, najpierw wszyscy, a teraz ja sama.. Potrzeba było nieszczęścia, że pojechała na nauczycielkę do tych państwa Jedlińskich na Podolu, — tu, na galicyjskiem Podolu, proszę ja pana.. W sąsiedztwie, u jakiegoś wuja, czy stryja, bawił ten Żytnicki, no i bywał tam we dworze... Miły, przyjemny człowiek — ale emigrant, bez grosza, bez stanowiska... No i pokochali się, nawet się zaręczyli; państwo Jedlińscy patrzyli na to przez palce, bo Marynia bardzo dobrze uczyła i dzieci były do niej przywiązane... Ale kiedy tutaj przyjechała i powiedziała o wszystkim rodzicom, nieboszczyk tatko ani słyszeć o tem nie chciał. Żytnicki przyjechał też w parę tygodni, oświadczył się formalnie, oznajmił, że ma jakąś stałą posadę

we Lwowie — ale tatko, że to impetyk był wielki, o niczem słyszeć nie chciał. Powstał na niego, nawymyślał mu od bałamutów, uwodzicieli — i prawie drzwi pokazał...

...A Marynia po tem wszystkim jakby nigdy nic... Da pan wiarę?... Ani łzy nie uroniła. Tyle tylko, że do tatki nie odzywała się wcale.

...Wkrótce też wyjechała na inną posadę, do Królestwa. I tam dopiero zaczęło się to nieszczęście... W kilka tygodni dostajemy list, że po nocach nie śpi, zachodzi się od płaczu, jeść nie chce, strasznie zmizerniała, a przy lekcyach zaczyna pleść niedorzeczności o żydach, zbójcach, Turkach i Bóg wie o czem... Powróciła do domu — ale już jakby nie ta sama... Ciągłe podniecona, opowiadała o wojnach, pożarach, Turkach, Szwedach, do tatki nie mówiła inaczej, tylko »panie Piotrze« — i unikała go ciągle. Straszne przeżyliśmy chwile...

...Tatko tak się tem zgryzł, że w oczach zaczął nikać i w pół roku umarł. Oddaliśmy Marynię do szpitala, ale niewyleczona wróciła. Tatki już nie zastała, ale ani razu nie spytała o niego, nawet w chwilach przytomności.

...I odtąd ciągle taka, jak ją pan widzisz. Niby to szydełkiem robi, a ani jednego oczka nie zaciągnie; niby to przegląda książki i za-

dania i przygotowuje się do lekcyj, na które, zdaje się jej, że panny co tylko nie przyjdą. Bywają takie dni, że nic nie chce jeść i ciągle płacze. Pytam, o co jej chodzi, czemu się tak żali, ale słowa z niej wydobyć nie mogę. Gdy ją to ominie, albo wraca do swoich zadań i książek, do szydełka, albo majaczy o wyprawie, spodziewa się sukni ślubnej, pyta się o obrączki, albo jest niby mężatką — i... proszę ja pana, aż mówić nie wypada... Ot, nieszczęście, krzyż pański... A każdego rana, to już jak amen w pacierzu, wojna ze mną o mieszkanie. Ona, pani Żytnicka, nie będzie mieszkać w tej jednej stancyi; wyprowadzi się, najmie dwa lub trzy pokoje, bo mąż takiej ciasnoty nie znosi, nie ma gdzie postawić swego łóżka ani biurka. Bywały tygodnie, że każdego wieczoru kładła się spać na podłodze, a łóżko zostawiała dla »męża«... Wyrzuca mi, że klucz od pokoju noszę w kieszeni, że ją więzę, nie chcę puścić do niego, i tak w kółko, bez końca...

...Może pan myśli, że ze złego serca trzymam Marynię w zamknięciu? Uchowaj Boże! Przed czterema laty jeszcze wychodziłam z nią na spacer, ale jak mi raz uciekła, to nie znaleźli jej, aż na drugi dzień gdzieś pod Biela-

nami. Zaszła do jakiegoś dworku, zobaczyła dzieci, usiadła do stołu i zaczęła je wołać do lekcyi... Teraz słabsza jestem, nie zdołam jej utrzymać, a nie mam na opłacanie człowieka, coby ją prowadził... Gdy mama nieboszczka żyła jeszcze, było mi lżej, ale od jej śmierci samej jednej z Marynią okropnie... Brat z Wiednia przysyła nam na utrzymanie — i tak męczę się z nią z dnia na dzień... Nieprzyjacielowi nie życzyłabym podobnego losu. Straszna rzecz, ciągle tylko z tą biedną chorą... Żal mi jej i kocham ją bardzo, bo przecie siostra, ale, proszę ja pana, tyle lat, tyle lat!

A ta, o której była mowa, siedziała przy zakratowanym oknie przed okrągłym, orzechowym stolikiem, ze zwitkiem bawełny w rękach i z szydełkiem, którem pierwszego oczka zrobić nie mogła. Błada i przerażająco chuda, z zapadniętymi skroniami i oczyma w dołach, w czarnym staniku, uwydatniającym płaską pierś, milczała nieprzerwanie. Pociągła, szlachetna twarz, z regularnymi łukami brwi, nosem prostym i drobnymi ustami, nosiła ślady inteligencyi i niepospolitej niegdyś urody. Dziś był to szkielet obleczony poźółkłą skórą — szkielet, który jednak oczekiwał na ślubną suknię!!

Pożegnawszy się z panną Wiktoryą, przystąpiłem do niej i wyciągnąłem rękę. Nie podniosła głowy, ani się nie poruszyła. Dopiero, gdy stanąłem w oknie tuż przy jej stoliku i zasłoniłem światło, przerwała swą marną, nigdy nie zaczęłą robotę i utkwiała we mnie duże, czarne oczy, patrzące z swych dołów, jak z grobu. Było to spojrzenie nieme, martwe, bezgranicznie spokojne i tym spokojem przerażające. Bezdenny smutek przywarł do tych biednych oczu na zawsze, niby wieczna żałoba po życiu, po szczęściu, po nadziei...

— Dobranoc pani, panno Maryo, odchodzę. Czemu pani taka milcząca? Czy to ładnie do sąsiada ani słowem się nie odezwać?

Milczała, spuściwszy głowę.

— Nic mi pani nie odpowie? — nalegałem energicznie. — Taka pani niegrzeczna niegościnna?

Milczenie.

— Gniewam się i nie przyjdę tutaj więcej!

Wtem, nie podnosząc głowy, ozwała się bardzo cicho:

— Proszę nie stać przy stoliku, bo tu lekcye się odbywają... zaraz panienki zaczną się schodzić...

— Ach tak... to przepraszam i ustępuję.

Ale bardzo proszę, gdy do pań znów kiedy przyjdę, być rozmowniejszą! Przymusza pani? Proszę o odpowiedź, panno Maryo! — krzyknąłem prawie, chcąc wywołać jakieś wrażenie na nieszczęśliwej.

Ale już nie odezwała się więcej, zajęta na nowo zrobieniem pierwszego oczka.

* * *

W kilka dni potem chodziłem szybko po swoim pokoju, wymyślając sobie w najdosadniejszy sposób.

...Żadna szlachetna uczuciowość, nadwrażliwy neurasteniku, żadne głębokie przejęcie się cudzą niedolą! Poprostu niedołęstwo i mazgajstwo! Na takie rzeczy patrzeć nie można?? Ha, ha!.. Dobry sobie! Ale inni niech patrzają! Wygodny altruizm, na widok łez chorej uciekać, tłómacząc się jakimś pilnym zajęciem!

...A przecież byłoby szlachetniej, mądrzej i serdeczniej, tej drugiej, skazanej na wieczne towarzystwo waryatki, ofarować godzinę spokojnej rozmowy, gdy dla tamtej nic już zrobić nie można...

Niestety, przechodziło to moje siły. Ten żywy szkielet kobiecy, siedząc na krawędzi

łóżka, w swej czarnej, jakby klasztornej sukni — płakał!! Lodowate dreszcze ścięły mi krew na ten widok, bo był to płacz okropny — niemy, spokojny i pełen rozdzierającej rezygnacji. Jakiś niezgłębiony żal dławić ją musiał, bo co chwila, odejmując chusteczkę, gwałtownym ruchem podnosiła w górę swą męczeńską, załzawioną twarz i z głuchym jękiem wyrzucała oddech, który przez ściśnięte gardło wydobyć się nie mógł.

Groza mię przejęła i opanowała myśl, że coś nią wstrząsnęło, jakiś ból sercem zatargał — że miała okropną chwilę świadomości!...

Błędna jej myśl, niby ptaszyna, krążąca nad opustoszałym nagle gniazdkiem, snuje się ustawicznie około tej miłości złamanej. Nie wie biedna, ile lat już upłynęło, jak bardzo się postarzała, lecz żyje ciągle w swym ulubionym świecie, jako »jego« żona, lub narzeczona, oczekująca dnia ślubu. Troszczy się o niego, myśli o nim, jest przy nim duszą i sercem. Więc może jakaś powrotna fala przyniosła jej niespodziewanie tę lub ową chwilę z przeszłości. Może wychyliło się ku niej spojrzenie dwojga rozkochanych oczu — jego oczu; może, słabem echem zaszemrały ciche, upajające,

a dawno przebrzmiały słowa... Może jakieś nielitościwe fata morgana zmaconego umysłu przedstawiło jej na moment surową twarz ojca, który w popędliwości skrzywdził śmiertelnie ją i tego, co przesłonił jej świat cały — i znowu poczuła ten sam ostry ból, który wówczas przeszył jej serce...

A może zamajaczyła tylko jakaś ścieżyna w cieniście parku, jakaś znajoma ławeczka pod lipą lub klonem, jakaś miedza zielona wśród wysokich zbóż, którą oboje wówczas chodzili... Błyskawica świadomości oświeciła to złudne widziadło — nieszczęsna zrozumiała swą nędzę przeszłą i nędzę dnia dzisiejszego — i żal rozdzierający, jak płomień z zastygłej pozornie zgorzeli, wybuchnął z tej starej, wyschłej piersi...

* * *

— Przecie pan sobie o nas przypomniał! Proszę, bardzo proszę! Jużem była pewna, że pan się pogniewał...

— O cóżbym się mógł gniewać? — odpowiedziałem na uprzejme powitanie p. Wiktorii. — Miałem dużo zajęcia, niezdrów też byłem i tak zeszedł miesiąc. Dziś miło mi bę-

dzie pogawędzić z panią o lepszych czasach... A jakże siostra? Spokojniejsza? Widzę, znowu jakąś robotą zajęta...

— Eh, proszę ja pana, aż przykro mówić... Przypatrz-że się pan, co z sobą zrobiła... Jak ją to wczoraj napadło, tak jest do dziś dnia... Zbliżyłem się.

Obłąkana siedziała na swoim miejscu, przed stolikiem, z grubą, niekształtną figurą... W ręce trzymała mały czepeczek dziecięcy, usiłując nań nawlec różową wstążeczkę. Głowę pochyliła nisko i ściągnęła brwi, jakby w wielkiem skupieniu.

— Cóż miałam począć, proszę ja pana? Musiałam już jej kupić ten czepeczek i kawałek wstążeczki, bo nie wiem, coby jeszcze wyprawiała ze mną... Prosiła, klękała, to znów złościła się i tak wykrzykiwała, że bałam się, aby coś gorszego z nią się nie stało... A jakem jej tylko przyniosła, zaraz się uspokoiła... Święcie wierzy...

Panna Wiktorya mówiła jeszcze długo, ale nic z tego nie pamiętam, chociaż uprzejmie słuchałem. Siedząc na staroświeckim, wązkim fotelu z wysokimi poręczami, w bolesnej zadumie patrzyłem na tę niedoszłą kobietę i nie-

doszłą matkę.. Nielitościwa ironia bytu nie mogła dotkliwiej zaszydzić z istoty ludzkiej..

Gdy wreszcie opowiadająca umilkła, rzekłem do chorej z energią, na jaką tylko stać mnie było:

— Witam panią! Czy dzisiaj znowu zechce mnie pani ignorować? Znowu pani taka niegościnna i niegrzeczna?

Nie podnosząc głowy, mruknęła:

— Nie mam czasu, jestem pani Żytnicka..

Po szarym, pochmurnym dniu zimowym, zachodzące słońce oglądnęło się nagle. Błada smuga światła zajaśniała w okratowanym oknie i ceglastym, jakby suchotniczym blaskiem oblała nasze twarze.

Naraz nieszczęśliwa podniosła na mnie swe czarne, zapadłe oczy i rozkładając ręce, rzekła:

— Jestem pani Żytnicka... widzi pan... spodziewam się..

W jej zgaszonych źrenicach zamajaczyła na moment błędna iskierka — szczęścia...



BŁOGOSŁAWIENI...

Patrzyłem w rozpiętego na krzyżu Chrystusa.

Wspaniała gotycka świątynia tonęła w mro-
kach posepnych, tylko górą snuły się blade
tęczce, wykwitłe z wysmukłych okien koloro-
wych, padały w objęcia czyhających cieni
i gasty.

Ostry chłód wiał od ścian szarych i czar-
nych płyt marmurowych. Na posadzkach ka-
miennych, w ławkach i przed ołtarzami roz-
pierała się pustka.

Było bardzo smutno...

Gdy dusza moja w drodze na swą Golgotę
upada pod ciężarem życia, wówczas idę przed
tego Chrystusa i stoję zapatrzony długo, długo...

Ta głowa w cierniowej koronie, co opadła
na piersi bezwładnie w chwili skonania, ta
twarz uduchowiona, tak słodka i tak bezgrani-
cznie dobra w swym cichym smutku i rezy-
gnacyi, chociaż nieruchome, zdają się płynąć
ku mnie...

I czuję nad sobą tchnienie wielkiej tajemnicy wieków, której ostatnie słowo zawisło poza granicami bytu — tchnienie potężne, ogromne, jak wieczność, jak śmierć..

W takiej chwili zapominam o jednej małej duszy, którą męka istnienia wlecze na małą Golgotę, i o krzywdzie tak drobnej, jak jedno życie ludzkie...

.
Nie wiem, kiedy przyszedł ten człowiek, kiedy ukląkł prawie u stóp moich i zaczął się modlić.

Krótką chwilę tylko patrzyłem na tę postać, gdyż był to widok rozdzierający. Błady, wynędzniały, z grubemi, spracowanemi rękami, które co chwila wznosił w górę, szeptał z gorączkowym pośpiechem błagalne słowa modlitwy. Wargi drżały mu od powstrzymywanych łez, a oczy utkwione w Chrystusie, który martwą głowę zwiesił bezwładnie, żebrały natrętnie, gorąco łaski i miłosierdzia.

Wzruszony do głębi, ukryłem twarz w dłoniach, lecz widziałem dalej żywo i wyraźnie tego człowieka skatowanego nędzą i niedolą i słyszałem słowa tej modlitwy, szeptanej z obłędem rozpacz...

I w zapatrzeniu się w tę znękaną duszę

zdało mi się na chwilę, że człowiek ów począł olbrzymieć. Bił od niego ogrom krzywdy, niedoli, zła. Wyraził się w nim cały świat wydziedziczonych, wprzężonych w jarzmo pracy, nędzy i zgryzoty, dla których ziemia jest macochą skąpą i okrutną, a miłość zdradziecką słodyczą, aby tej nędzy i niedoli nie było końca... Ciemne, straszliwie spracowane ręce wznosił coraz wyżej, oczy łzawe, męczeńskie zatopił w twarzy Chrystusa z siłą tak wielką, tak pewną miłosierdzia i cudu, że ten cud spełnić się musiał...

I zdało mi się, że usłyszałem słowa ciche a potężne, jak szum morza daleki.

...Błogosławieni, którzy płaczą...

...Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości...

...Błogosławieni, którzy prześladowanie cierpią...

.
Gdym otrząsnąwszy się z wrażenia, spojrzał przytomnie, już modlącego się obok mnie nie było.

Wtem rozdarł ciszę odgłos zbliżających się kroków, zaszeleściły jedwabie i tuż przy mnie stanęły dwie wytwornie ubrane damy w towarzystwie młodego, eleganckiego mężczyzny.

Rozeszła się delikatna, drażniąca zmysły woń perfum, woń buduaru o szarej godzinie..

Przybyli, przeżegnawszy się, rozmawiali swobodnie. Może byli obcy i zwiedzali w popołudniowej porze piękny kościół.

Gdym podniósł oczy na krzyż, Chrystus powieki miał przymknięte, głowę bezwładnie zwieszoną...



MELANCHOLIÆ

I.

ZORZA GASNĄCA.

— Cudowne — nieprawdaż?

— Istotnie, zawsze podziwiam grę barw i różnorodność naszych zórz wieczornych. Gdy jeszcze byłem dzieckiem, często stawałem długo, zapatrzony w te pożary obłoków...

— Aż do ostatnich chwil?

— Tak, aż do zemdlenia ostatnich tchnień światła.

— A potem?

— Potem biegłem do matki, dziwnie wzruszony, z roztkliwionem sercem i łzami w oczach. Dobra matka uspokajała mnie pieszczotą, niekiedy muzyką. Ale sprawiałem jej tem przykrość, miewała jakieś złe przeczucia i niepokoiła się o moje zdrowie. Na szczęście przeczucia się nie sprawdziły — żyję. Teraz prawie nie lubię zórz wieczornych, chociaż mają dla mnie urok.

— Ty, co takim jesteś czcicielem przyrody? Ja znów patrzyłabym tak bez końca, przytulona do ciebie. Jak dobrze opartej na twym ramieniu napawać się tą symfonią barw — chłonać ją w siebie... I możesz nie kochać tych przepięknych zjawisk?

— Kocham tylko poranek i słońce. Poranek jest uśmiechem nadziei; słońce dawcą i wyobrażeniem pełni życia; zorza — tylko złudzeniem. Gaśnie jak widmo senne, poi duszę melancholią i mówi o śmierci. Patrzaj: ten wiszący w powietrznej przeźroczy pałac świetlany, płonący od spodu jasnym, oślepiającym blaskiem, już nigdy nie wróci się oczom naszym, i te barwy, znikome choć cudne, nie wrócą. Błękit na nieboskłonie przechodzi w seledyn, ostatnie uśmiechy słońca, którego już nie widać, ubierają ten fantastyczny obłok w odblaski srebrno-różowe, opalowe i szafirowo-złote. Za chwilę zorza przywdzieje płaszcz purpurowy i mdlejąca, szybko za sobą ciągnąc będzie ciemno-czerwone wstęgi... Nie patrz już, droga moja. Odejdźmy do innego okna. Ręka ci drży, jesteś zdenerwowana, widzę w oczach twoich żal i tęsknotę. Jeśli mnie kochasz — odejdźmy. O tak — dziękuję ci.

— Czy kocham?... I po cóż to zakłęcie?

— A ty, smutna moja królowo, czemuż powiedziałaś to tak rzewnie? Lecz gdyby nie ten smutek, co jest dostojnością duszy, kto wie, czy byłabyś mi królową i czy kochałbym cię tak, jak kocham. Daj obie ręce, oprzyj główkę — niechaj czuję pieszczotę twych spłotów wonnych. Czemże kwiaty wobec upojeń, jakie mi daje woń twych włosów!... Ten zmierzch niebieskawy, rozpostarty nad ogromną płaszczyzną śniegową, czyż nie spływa cichą falą ukojenia do duszy?

— Tak, ma swoją wymowę, ale inną, niż zorze — te zorze gasnące...

— I on gaśnie, ale spokojnie, pogodnie. Za chwilę księżyc wypije tony fioletowe i przez noc całą będzie patrzył z wysoka na roziskrzona, białe płaszczyzny...

— Czy dużo dziś pracowałeś?

— Dużo — i rad z siebie jestem. Dobrze, że odeszłaś od tamtego okna. Poco chłonać melancholię z gasnących zórz, gdy zorze życia naszego płoną jeszcze żywymi blaski, gdyśmy u zenitu naszego szczęścia...

— Jednak to straszne, że szczęście ma swój zenit i swój zmierzch...

— To prawo natury — prawo dnia i nocy. Słońce jest u zenitu każdego dnia...

— Tak... i każdego wieczoru zapada za tę ciemną ścianę lasów i niewidzialne, rzuca jeszcze za siebie tęskne i łzawe uśmiechy. To cudowne — lecz dla mnie zawsze tak dziwnie smutne — — Już bardzo ciemno w pokojach... patrz...

— Czy kazać lampę podać?

— O nie! Patrz! Twoje biurko samotne i fotel przed niem odsunięty czernieją w zmroku, jakby już dawno, dawno Ciebie tam nie było... A z mego pokoju jakaż pustka patrzy przerażonemi oczyma!

— Nie egzaltuj się, kochana, uspokój. Co dnia to samo się powtarza...

— Istotnie, co dnia widzę to samo, lecz czemuż dzisiaj tak mi smutno, tak łyżę dławia w gardle?... Tam, na zachodzie, pewnie już ciemno — zorze zgasły... Pójdźmy.

Na zachodzie, obłoki przedtem płonące złotem i purpurą, wisiały czarne, jak całuny żałobne, na tle sinego, zimnego nieba. Przygniały ponurą potęgą i głosiły śmierć ubiegłego dnia, co nie powróci już nigdy.

Zakryła oczy gwałtownie, cała we łzach, drżąca, strwożona.

— Boże! jakie to straszne, jakie straszne!

Tulił ją, całował, uspokajał.

Ale spojrzawszy na tę żałobę, zawieszoną nad ziemią, zadrżał, i z rozpacziwą tkliwością przycisnął ją do piersi, jakby przed rozstaniem...

.



II.

NOC.

...Gdy się obudził, długą chwilę leżał bez ruchu, wreszcie ułożył się wysoko na poduszkach i patrzył w okno, za którem ukazywał się widok jasnej, księżycowej nocy letniej, piękny, jak marzenie o szczęściu.

Wzdłuż białego gościńca, gubiącego się opodal wśród niskich chat, stał w drżącym, seledynowym świetle szereg młodych drzew, cichych i nieruchomych. Za nimi, w poświacie miesięcznej, drzemały zielone i żółte pola — a hen, na skrajach widnokręgu, majaczyły sine, fantastyczne kształty gór, niby widma dalekie. Nad wszystkim płynęły tajemnicze tchnienia ciszy, jakby na wysokościach, szlakami dróg mlecznych, przelatywał anioł pokoju.

Patrząc na ten majestat nocy i wsłuchując się w tę ciszę, wielką i głęboką jak niema mo-

dlitwa, szczerze rad był, że spędza lato na wsi, mimo, iż spowodowała go do tego choroba nieuleczalna.

Ale im dłużej zapatrywał się w tę przyrodę, jakby w zachwyceniu przyjmującą błogosławieństwo światła, tem wyraźniej uczuwał, że dzieje się w nim coś niezwykłego. Jakieś dawne uczucia, jakieś uniesienia serca zaczęły budzić się w jego głębi — i ogarnęło go dziwne wzruszenie...

Niegdyś, przed laty, takie same horyzonty gwiazdziste roztaczały się przed nim, tak samo stały ciche i milczące chaty wiejskie, pławiąc się w świetle miesiąca, gdy on, jako młode chłopię, trzymając się ręki ukochanego ojca, chodził z nim wieczorami po ogrodzie i z oczyma utkwionemi w niebo, słuchał jego opowiadań o tych miryadach oddalonych światów...

A dzisiaj?... Nie, tamto młode chłopię to chyba nie on... Jego dusza od dawna śmiertelnie zatruta. Żadna radość ani żaden smutek już nie poruszą jego istoty, nie przyspieszą bicia serca: wszystko mu mniej więcej obojętne; na wszystko, cokolwiekby go jeszcze spotkało, wzruszyłyby ramionami. Bo odkąd ona odeszła, był jakoby gałęzią oderwaną od rosnącego drzewa i zamierał powoli duchem i ciałem.

Przebywając tutaj od kilku miesięcy, z dziwnym uczuciem dowiadywał się z pism codziennych o coraz to nowych zgonach ludzi, których w mieście zostawił. Byli to znajomi, całkiem obcy lub znani tylko z nazwiska. Zdawało mu się, że gdy tam powróci, zobaczy jakąś straszną, przerażającą pustkę, że miasto będzie wyludnione, a on bardziej samotny... Gdy ci wszyscy żyli jeszcze, dawniej, dawniej, przed laty, żyła przy nim i ona, ten ukochany, smutny kwiat...

I na moment z wielką wyrazistością ujrzął ją w chwili śmierci... Była jak lilia złamana. Złote włosy otoczyły białą, uśpioną twarz, z której nie zdołała jeszcze ulecieć tęsknota i rozdzierający żal rozstania...

I ujrzął ją w trumnie — potem w grobie... Okropne wizye cmentarne rzuciły mu się na oczy i pastwiły się nad nim długo...

.



III.

BRZASK.

...Za oknem, z szaro-srebrzystej topieli wylały się te same zagrody, drzewa i pola. Księżyc unosił się blady, zgaszony i lekki jak cień, jutrzienka tylko tkwiła jeszcze w przestworach żywa i błyszcząca. Na wschodzie z poza skalistych olbrzymów wystrzeliły zorze różowe i mknęły w górę po niebie, jakby skrzydła zaświatowych istot, co zwyciężywszy noc, w radosnym tryumfie wzlatają nad ziemią. Na poblizkiem drzewie ozwał się nieśmiały, przeciągły szczebiot, z oddali zawtórował mu drugi i trzeci... Brzask poranny budził ptactwo i niósł z sobą nieokreśloną radość i pogodę...

Z sercem bijącym i dreszczem silnego wzruszenia obejmował oczyma rozlewające się po niebie zorze różowe, bo oto zdało mu się, że odsłania się przed nim wielka, niezgłębiona

tajemnica. I nagle przedarło się do jego świadomości jakieś nieznanne poczucie, niby pierwsze westchnienie duszy, co omdlała nad otchłanią nicości...

...My jednak nie możemy być dziełem ślepej, choć przepotężnej siły twórczej... Tylko świadoma siebie potęga mogła nas powołać do bytu. Musi być nad nami jakaś moc nieskończenie wielka, ale i nieskończenie dobra, która patrzy na nas i błogosławi z wysokości... To coś więcej, niż nastrój chwili: to prawda, którą czuję, jak bicie własnego serca...

Z oczu jego, zapatrzonych w zaróżowione niebo, płynęły słodkie łzy mistycznej ekstazy.



SPIS RZECZY.



	Str.
Słońce wiosenne	1
Dwie ofiary	9
Na Gromniczną	19
W niewoli	33
Do matysi...	49
Cause celèbre — w Topolówce	73
Nemesis	93
Po węgle	101
W zimowy czas (obrazek z życia wsi)	111
Hanusina wigilia	143
Powracająca fala...	153
Za krzyżem	175
Osierocona	181
W noc zaduszną	193
Nieszkodliwa	203
Błogosławieni	215
Melancholia	221









60. —————

840MB/88

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH

BIBLIOTEKA

203034

Biblioteka WSP Kielce



0072280